ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 11(24) • Listopad 2007 • Cena 2,00 zł

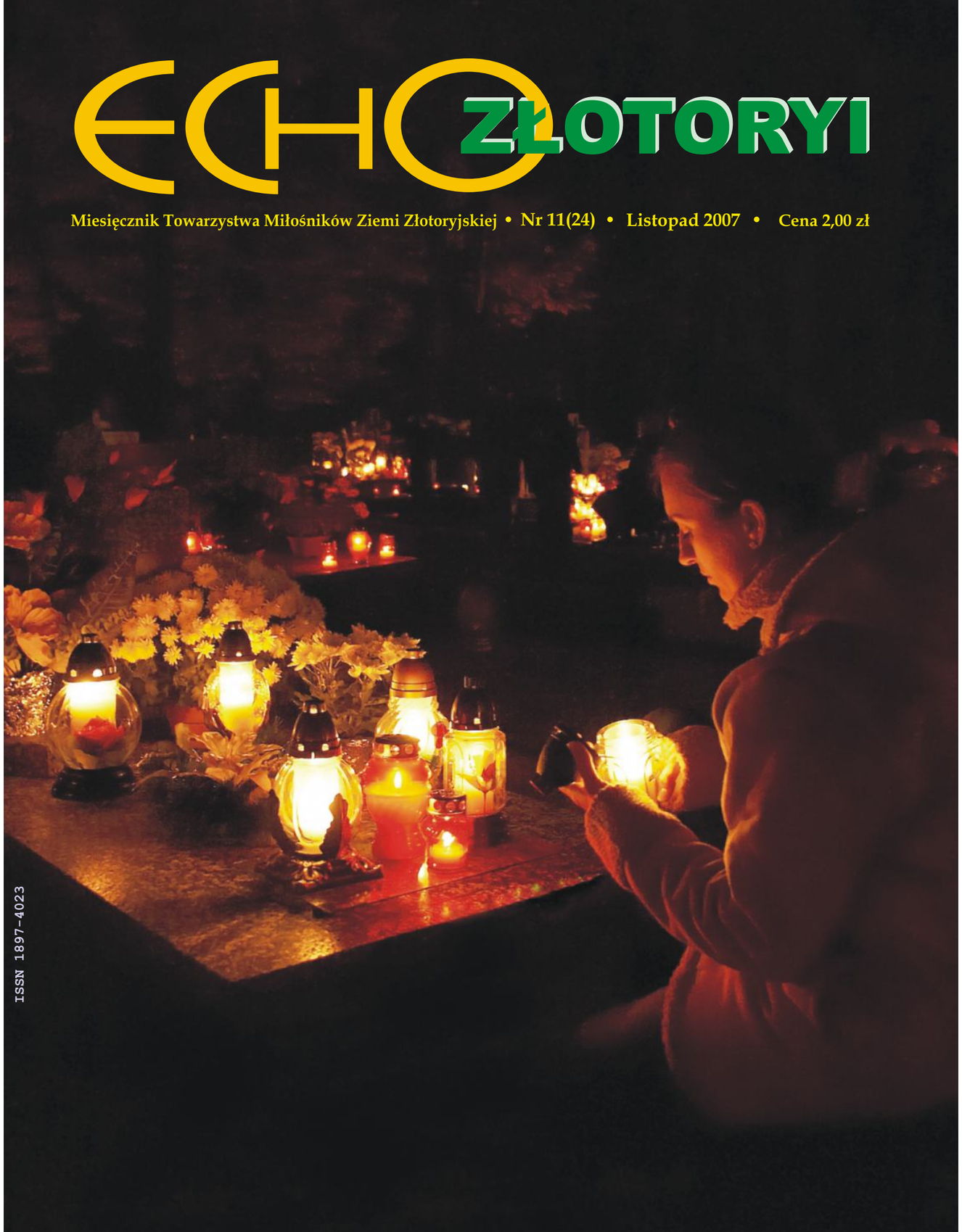

ISSN 1897-4023

30 życiorysów

Antoni Mieszczak tuż po II wojnie światowej w 1946 r. kierował rozruchem byłej fabryki kapeluszy (późniejszych złotoryjskich *Filców*), a następnie doprowadził do jej uruchomienia. Pod jego kierownictwem fabryka rozwijała się dynamicznie, stopniowo zwiększając produkcję.

W 1947 roku pierwszy dyrektor *Filców* został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i osadzony w areszcie we Wrocławiu. Tam, w pojedynczej celi, bez kontaktów z rodziną i innymi ludźmi, bez światła dziennego, bez podstawowych warunków sanitarnych. Był poddawany wyczerpującym, wielogodzinnym przesłuchaniom. Po dziewięciu miesiącach został zwolniony z więzienia, zrehabilitowany przez władzę ludową oraz odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi. Ponownie podjął pracę jako dyrektor zakładu, który pod jego kierownictwem wspaniale się rozwijał. Jednak ze względów rodzinnych po kilku latach zmuszony był wyjechać ze Złotoryi. Wrócił do swojego rodzinnego miasta Bielska - Białej. Po czterdziestu latach Antoni Mieszczak swoje przeżycia opisał we wspomnieniach, które przechowywane są w biblioteczce Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Pewnego chłodnego dnia kwietnia 1946 roku trzej mężczyźni, wśród których był **Antoni Mieszczak,** wysiedli z samochodu przed bramą **Fabryki Kapeluszy N. Neumann KO** w Złotoryi. Zadaniem grupy, wysłanej przez zakłady z Bielska-Białej, było rozeznanie ogólne oraz oględziny fabryki pod kątem stanu zabudowań, maszyn i urządzeń. Celem było oczywiście uruchomienie maszyn i rozpoczęcie produkcji.

Po kilku dniach pobytu w Złotoryi grupa mogła wrócić do Bielska - Białej, aby opracować plan i harmonogram organizacji prac, remontów i napraw, zaopatrzenia materiałowego i innych czynności, niezbędnych do uruchomienia zakładu.

*

Wszystkie drzewa w Złotoryi już kwitły, gdy Antoni wraz z rodziną w maju tego samego roku przyjechał ponownie już jako **pełnomocnik** do uruchomienia byłej Fabryki Kapeluszy. Zamieszkali w pięknej secesyjnej willi byłego fabrykanta przy ul. Bolesława Chrobrego. Stąd do fabryki było kilka kroków. To było ważne, gdyż nowy pełnomocnik od tego momentu poświęcał całe dnie zakładowi. Chciał szybko uruchomić maszyny, aby rozpocząć produkcję. Miał do tego dobre przygotowanie. W swoim rodzinnym Bielsku jeszcze przed wojną jako dwudziestodwuletni młodzieniec pracował parę lat w Fabryce Kapeluszy H. Danielczyk. Potem wybuchła wojna. Antoni brał udział w wojnie obronnej, potem dostał się do obozu jenieckiego. Miał szczęście, bo wkrótce został wypuszczony na wolność. Ponownie podjął pracę w fabryce kapeluszy, gdzie pracował całą okupację, a po wyzwoleniu został powołany na kierownika tejże fabryki. Był już wówczas doświadczonym pracownikiem w branży kapeluszniczej.

Pracami rozruchowymi tych urządzeń kierował dr inż. Jan Gryf - Chamski, a obsługę kotła sprawował osobiście jeden z Niemców Br. Schimke.

Tak oto, ówczesny pełnomocnik Antoni Mieszczak, wspomina ten okres:

Cała załoga włożyła ogromny wysiłek, zapał i ofiarność podczas prac technicznego uruchomienia zakładu. Bardzo przydatna i bardzo pracowita okazała się grupa ośmiu niemieckich majstrów i brygadzistów, ludzi po sześćdziesiątce, którzy nie chcieli wyjeżdżać i po wojnie pozostali w Złotoryi. Okazali oni dużą fachową pomoc przy montażu maszyn kapeluszniczych i pracowali z całym poświęceniem podczas uruchamiania fabryki. Wszystkim zatrudnionym w tym okresie wyrażam pełne uznanie i szacunek oraz podziękowanie za miłą i owocną współpracę. Z całą pewnością zasłużyli sobie na miano pionierów uruchomienia zakładu.

*

W końcu, po wielu miesiącach intensywnej pracy, gdy już opadły wszystkie liście z drzew, *z pięknego żółtego komina fabrycznego wydobyły się pierwsze kłęby dymu, oznajmiając rozruch fabryki. W tym dniu cała załoga, licząca już około 130 pracowników, z radością wiwatowała na placu fabrycznym.*

Ponieważ fabryka dysponowała już parą technologiczną, mogła przystąpić do obsady i szkoleń na poszczególnych stanowiskach produkcyjnych. Było to zadanie bardzo trudne do realizacji. Nowi pracownicy, rekrutujący się głównie ze wschodu kraju, nie byli dotąd związani z przemysłem - bez obycia i nawyków robotnika przemysłowego. Natomiast z zatrudnieniem nie było żadnych trudności, gdyż fabryka nasza stanowiła jedyne źródło pracy dla około trzech tysięcy wówczas zamieszkałych obywateli w mieście. Praktyczne szkolenie indywidualne i zespołowe przeprowadzali mistrzowie i brygadziści Niemcy oraz kilka kobiet, również Niemek, które przed wojną pracowały w tej fabryce.

Do szkolenia sprowadzono fachowców z Bielska-Białej, a wśród nich był Ludwik Łaciak - technik farbiarz, inż. Marcinik, J. Nawrocki i wielu innych wspaniałych fachowców z branży kapeluszniczej. Szkolono również przyszłych mistrzów i brygadzistów oddziałów produkcyjnych: Kucharczyka, Krzyżowskiego, Waciaka St., Lubienieckiego, Skwarę, Ratajczyka i innych - pisze we wspomnieniach Antoni Mieszczak.

*

Znów minęło kilka miesięcy, nastał kolejny, 1947 rok. Po pomyślnym uruchomieniu fabryki produkcja kapeluszy postępowała dynamicznie. Następował stopniowy rozkwit zakładu. W tych latach w Polsce władza ludowa umacniała swoją potęgę, walcząc z reakcyjnym podziemiem i innymi wrogami klasowymi. Urząd Bezpieczeństwa masowo aresztował obywateli na podstawie mało przekonywających dowodów bądź zwykłych donosów. Setki ludzi w aresztach były poddawane wyczerpującym przesłuchaniom, a nierzadko i torturom, czekając miesiącami i latami na proces.

*

Nadszedł upalny dzień 26 sierpnia. W tym dniu kierownik techniczny **Państwowej Fabryki Kapeluszy** w Złotoryi, Antoni Mieszczak, wyszedł jak zwykle rano do pracy. Jak zwykle wydawał różne dyspozycje, przyjmował kierowników wydziałów w swoim gabinecie, omawiając sprawy fabryki. Pracował.

Około godziny 14-tej niespodziewanie weszło do mojego gabinetu trzech panów w cywilu oświadczając, że są funkcjonariuszami Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa z Wrocławia. Jeden z nich pokazał legitymację służbową, rutynowo zasłaniając palcem swe nazwisko. Po bardzo krótkiej rozmowie powiedziano mi, że jestem podejrzany i zostaję aresztowany. Na moje pytanie z jakiego powodu, oświadczono: „Wszystkiego dowiecie się w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Złotoryi. Teraz pójdziecie z nami!". Nie pozwolili mi nawet zatelefonować do mojej rodziny, ani wydać żadnych dyspozycji sekretarce. W asyście trzech ubeków prowadzono mnie do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa. Widziałem, że brama główna i boczna zakładu oraz wyjścia do ogrodu obstawione były też funkcjonariuszami, co miało stwarzać wrażenie, że ścigają groźnego przestępcę.

Na miejscu wprowadzono mnie do małego pokoju - trzy krzesła, stół, stara leżanka- i kazano czekać. Czekałem do następnego dnia do rana. W godzinach wieczornych, dzięki przychylności wartowników, podano mi posiłek przekazany przez moją żonę - wspomina kierownik.

Następnego dnia rano Mieszczaka zabrano na przesłuchanie. Szefem całej operacji i przesłuchującym był niejaki Cyzamis. Przez dwie godziny wmawiano kierownikowi, że organizował sabotaż w fabryce, zarzucano nadużycia i szabrownictwo, następnie szpiegostwo na rzecz Niemców, konspirację w Narodowych Siłach Zbrojnych i dziesiątki innych sfabrykowanych zarzutów. Grożono, że za to idzie się na 25 lat do więzienia. Następnie wręczono Antoniemu papier i pióro, i kazano pisać życiorys. Po pierwszym kazano pisać następny, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden… W sumie w pierwszym dniu swojego aresztowania Antoni Mieszczak napisał pięć życiorysów.

Tego dnia wieczorem wpakowano mnie do krytej ciężarówki i w asyście dwóch uzbrojonych milicjantów przewieziono do Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa we Wrocławiu, w którym tak niedawno w czasie wojny było gestapo. Tam odebrano mi sznurówki od butów, pasek od spodni oraz wszystkie osobiste rzeczy, które miałem przy sobie.

Do depozytu oddał „portfel skórzany czarny z dokumentami: legitymację służbową nr 20 wystawioną przez Ogólnopolskie Zjednoczenie Przemysłu Kapeluszniczego w Łodzi, nominację na kierownika technicznego Państwowej Fabryki Kapeluszy w Złotoryi, wystawioną przez Dyrekcję Przemysłu Wełnianego w Łodzi, odpis pełnomocnictwa, prawo jazdy, legitymację związków zawodowych, legitymację PCK i odcinek zameldowania" - wpisano w zaświadczeniu. Musiał również oddać zegarek i wieczne pióro. Nie mógł zostawić nawet 37 złotych, które miał w kieszeni, więc posłusznie ułożył je na małym stosiku innych rzeczy. Na samym wierzchu umieścił zdjęcia ukochanej żony i trojga dzieci, które zawsze nosił przy sobie. W tym momencie Antoni Mieszczak poczuł strach i osamotnienie. Nie miał już nic.

Następnie odprowadzono go do celi w piwnicy. Duch w nim upadł, kiedy zobaczył celę. Poza drewnianą pryczą z dwoma starymi kocami nie było w niej żadnych innych sprzętów. Na betonowej podłodze stały dwa wiadra. Jedno z czystą wodą, drugie na odchody.

Zakratowane okno było zasłonięte blachą, skutecznie odcinając więźnia od światła dziennego. Jedynym oświetleniem był słaby odblask, padający z żarówki na korytarzu. W tej celi Antoni Mieszczak, bojownik o wolną Polskę, jeniec wojenny i pionier uruchomienia fabryki na Ziemiach Odzyskanych, miał spędzić następne dziewięć długich samotnych miesięcy, nie widując nikogo z rodziny, nie mając o niej żadnych wiadomości i nie widząc ani razu światła dziennego.

Tutaj dopiero rozpoczęła się gehenna psychicznego zastraszania i stosowania perfidnych metod gróźb - pisze po latach dyrektor Filców. *Przesłuchania były codziennie, często nocą, przy reflektorach skierowanych prosto w oczy. Jedno takie przesłuchanie daję jako przykład:*

Ja, jako przesłuchiwany, siedzę na taborecie w odległości sześciu metrów od funkcjonariusza. W pewnym momencie wpada bocznymi drzwiami dwóch panów wprost na mnie mówiąc: „No, kurwa, wpadliśmy! Przyznaj się, jak i my! Widzisz, jesteśmy już na wolności!". Nie znałem tych ludzi i nigdy ich nie widziałem. Takie to były ubeckie metody.

Intensywne straszenie i przesłuchania trwały około sześciu miesięcy. Potem coraz rzadziej.

W sumie przez cały okres aresztowania napisałem około trzydziestu życiorysów, począwszy od dziadków, poprzez lata szkolne, a skończywszy na życiu dorosłym i własnej rodzinie.

Przez dziewięć miesięcy przebywałem sam w ciemnej celi, nie mając żadnych wiadomości o żonie i dzieciach. Straszna samotność.

Przez długie miesiące przebywania w areszcie pan Antoni ani razu nie skorzystał z prysznica, nie mógł się również ogolić. Gdy dotykał swojej głowy i brody, stwierdzał że włosy są coraz dłuższe i brudniejsze. Chyba miał wszy. Ubranie było w strasznym stanie, wymięte, brudne i cuchnące. Dobrze, że nie miał lusterka, bo przeraziłby się, widząc teraz siebie. Nędzne wyżywienie dopełniało obrazu wyniszczonego człowieka. Miał wrażenie, że postarzał się o kilka lat.

*

Minęło ponad 270 długich, samotnych i wypełnionych tylko rozpaczliwą nadzieją dni. Ten czerwcowy dzień miał być szczególny. Chociaż drzwi celi otworzyły się jak zwykle i jak zwykle stanął w nich wartownik, Mieszczak był przeświadczony, że dzisiaj będzie inaczej. I tak się stało. Pierwszy raz po dziewięciu miesiącach odprowadzono go pod prysznic. Gdy stał pod strugami ciepłej wody i zmywał z siebie brud dziewięciu miesięcy, czuł, że znów jest człowiekiem. Potem ogolono mu brodę i głowę, i na drugi dzień wraz z pięcioma innymi więźniami również z ogolonymi głowami, zawieziono do dużego więzienia nr 1 na Kleczkowską. W czasie jazdy ulicami Wrocławia otwartą ciężarówką musieli leżeć płasko brzuchami do platformy, żeby obywatele nie widzieli więźniów politycznych w ojczyźnie optymistycznie budującej socjalizm.

W tym nowym więzieniu warunki były bardzo dobre. Raz w tygodniu były prysznice, w celach były okna i Antoni mógł w końcu patrzeć na słońce i niebo. Wyżywienie też było znośne. No i miał towarzystwo, bo w celi poza nim było jeszcze dwóch mężczyzn. Mógł rozmawiać! Mógł opowiadać o swojej żonie i dzieciach, o poprzednim życiu, o tym, jak pionierskо budował zręby przemysłu na wojennych zgliszczach.

*

Po trzech tygodniach dyrektor został wezwany na przesłuchanie. Przesłuchiwał go nie jak dotychczas, milicjant, ale sędzia śledczy. Mężczyzna czuł, że zbliża się koniec jego gehenny. I tak 13 czerwca 1948 roku, w dniu swoich imienin, Antoni Mieszczak został niespodziewanie zwolniony z więzienia, spędzając w nim niewinnie dziesięć miesięcy i dwa tygodnie. Przy wypisywaniu wręczono mu dokument „Kartę zwolnienia więźnia śledczego" więzienia nr I we Wrocławiu o numerze I.178/48, gdzie zaświadczano, iż „więzień śledczy Mieszczak Antoni, syn Zofii ze Złotorii zwolniony został dzisiaj o godz. (godzina nie została wpisana - przyp. AM) z aresztu prewencyjnego i udaje się do Białej Krakowskiej". Dokument opatrzono datą 12 czerwca 1948 r. Podpisał naczelnik więzienia - podpis nieczytelny.

Po opuszczeniu bramy więzienia czułem się jak zbłąkany pies. Unikałem spojrzeń ludzi, gdyż każdy patrzył na moją ogoloną głowę - wiadomo, więzień. Byłem zmuszony iść tak przez całe miasto aż do dworca głównego. Jako jedyny dokument miałem przy sobie mały świstek papieru. Było to zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia, które upoważniało mnie do przejazdu koleją PKP z Wrocławia do Białej Krakowskiej, gdzie mieszkała moja rodzina.

Po upływie pięciu miesięcy od mojego zatrzymania, 16 stycznia 1948 r. żona z trojgiem dzieci została wyrzucona z zajmowanego mieszkania na podwórze. Była wtedy ostra zima. Rodzina ocalała dzięki życzliwości i litości załogi mojej fabryki. Pracownicy załatwili samochód ciężarowy na przewóz mebli, zaoferowali pomoc finansową i zapewnili przewóz całej rodziny do moich teściów w Bielsku - Białej - wspomina dyrektor.

*

W końcu Antoni dotarł do swojej żony i trojga dzieci. W jego wspomnieniach brak opisu spotkania z rodziną. Na pewno były łzy szczęścia i zarazem rozpaczy, niekończące się objęcia, z których nie chce się wydobyć i nieme pytanie: DLACZEGO?

Dyrektor wspomina dalej:

Po kilku dniach pobytu z rodziną i opamiętania się z tych przeżyć przyjechał do mnie zastępca dyrektora naczelnego Zjednoczenia Przemysłu Kapeluszniczego A. Zajączkowski, abym jak najszybciej zgłosił się do dyrektora naczelnego Tadeusza Modrzejewskiego. Podczas długiej rozmowy z naczelnym dowiedziałem się, że decyzją Ministra Przemysłu Lekkiego mam wrócić do Złotoryi i ponownie objąć kierownictwo zakładu. Władze polityczne, administracyjne, milicja i UB zostały o tym powiadomione i nie będą stwarzać żadnych trudności.

I oto po koszmarze przesłuchań ubeckiego więzienia, z upokarzająco ogoloną głową, Antoni Mieszczak wraz z towarzyszącymi mu dwoma dyrektorami z centrali w eleganckim samochodzie służbowym Zjednoczenia triumfalnie wjeżdża do Złotoryi. Obejmuje ponownie kierownictwo fabryki kapeluszy.

Przez załogę fabryki i miejscowe władze został powitany jak bohater. Pierwsze dwa dni nie mógł pracować, bo całymi godzinami przyjmował delegacje oddziałów produkcyjnych oraz indywidualnych pracowników. Wysłuchał wielu ciepłych słów przez telefon. „Wrócił nasz dyrektor" mówili pracownicy i cieszyli się, że znów będzie jak dawniej.

Antoni czuł, że wrócił do domu. Po dwóch tygodniach sprowadził swoją rodzinę i znów zamieszkali w pięknej secesyjnej Willi Fabrykanta.

Już wkrótce, w lipcu 1948 r., Antoni Mieszczak zostaje uhonorowany Srebrnym Krzyżem Zasługi w dowód zadośćuczynienia za wyrządzoną przez władzę ludową krzywdę moralną i psychiczną jemu i jego rodzinie. Zorganizowano wielką fetę. W sali starego hotelu w Rynku zebrała się cała załoga fabryki kapeluszy, przyszło bardzo wielu złotoryjan, którzy słyszeli o tym, co spotkało dyrektora. Byli też liczni przedstawiciele tej samej władzy, która trzymała Antoniego przez dziewięć miesięcy w ciemnej celi bez podstawowych warunków sanitarnych, skazując go na cierpienia psychiczne i straszliwą samotność. Przedstawiciel owej władzy, przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej, dokonał aktu odznaczenia. W okolicznościowych przemówieniach składano dyrektorowi gratulacje i życzenia dalszej dobrej pracy. Władza ludowa kajała się, składała wyrazy współczucia i przepraszała za zaistniałe nieporozumienie.

Nieco później dyrektor otrzymał pocztą zaświadczenie wystawione przez Wojskową Prokuraturę Rejonową we Wrocławiu o numerze D 630/47, iż „sprawa przeciwko obywatelowi Mieszczak Antoniemu postanowieniem z dnia 8 czerwca 1948 r. została umorzona". Podpisał wojskowy prokurator rejonowy we Wrocławiu Lachowicz Antoni, podpułkownik. Przed nazwiskiem, w miejscu na tytuł naukowy, kreska.

Antoniemu Mieszczakowi wspaniałomyślnie pozwolono zostać ponownie praworządnym obywatelem w socjalistycznej ojczyźnie, lecz jak pisze we wspomnieniach - *mimo upływu ponad czterdziestu lat, blizny wyrządzonej mi krzywdy pozostają w mej pamięci.*

*

Antoni z radością rzucił się w wir pracy. Zakład z każdym rokiem zwiększał produkcję, aby w 1949 osiągnąć pełną moc produkcyjną. Wraz ze wzrostem produkcji zwiększała się też liczebność załogi.

Dla wspomnienia podam kilka nazwisk osób, które pamiętam ze stanowisk kierowniczych: dyrektor techniczny Krauze, potem inżynier Żaskórski, główny księgowy Badowski, potem L. Sobański, zastępca dyrektora Renkowski i dyrektor Dłużniewski, Wikliński i Kubasiak, kierownik działu personalnego Mieczysław Widort, później Nowacki, kierownik działu płac Zygmunt Piotrowski, inżynier Ciok, magazynierzy K. Kapela, Rakoczy, J. Czyżewski, St. Waciak i wielu innych, których moja pamięć już nie sięga - pisze Mieszczak.

W międzyczasie zakład zmienił nazwę na **Złotoryjskie Zakłady Wyrobów Filcowych - Zakład I.** Lata 1949 - 1950 były okresem pełnego rozkwitu i działalności produkcyjnej, dumą załogi i władz miasta. Filce jako jedyny zakład dawały zatrudnienie dla siedmiuset pracowników w mieście. Wtedy też - prawdopodobnie - bohater naszego artykułu został awansowany do rangi dyrektora fabryki.

Ze wspomnień:

Jednakże z początkiem 1951 r. popyt na kapelusze stopniowo malał. Stało się to za sprawą

dokończenie na stronie 4.

ECHO ZŁOTORYI **Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej**

Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl

W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska, Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska, Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta). Zdjęcie na okładce: Ryszard Masłowski.

dokończenie ze strony 3.

mody. Od wiosny do jesieni zarówno panie jak i mężczyźni chodzili bez nakryć głowy. Zaś zimą noszono różnego rodzaju chusty, czapeczki dziane, futerkowe, itp. Powstała koncepcja produkowania zamiast kapeluszy - płyt filcowych, czego dotąd nie produkowano w Polsce. Zmiany te wymagały usprawnienia i rekonstrukcji maszyn spilśniających, tzw. filcarek, aby mogły służyć nowej technologii. Usprawnienia tych maszyn dokonałem osobiście, własną myślą i dokumentacją roboczą. Zostało to zarejestrowane przez Urząd Patentowy PR pod nr 19629 z dnia 25 maja 1951 r.

Praca dyrektora Mieszczaka została zauważona „na górze". Potwierdzeniem tego była przyznana w dniu 24 maja 1952 r. przez Ministra Przemysłu Lekkiego „nagroda pieniężna w kwocie trzech tysięcy złotych dla obywatela Mieszczaka Antoniego, dyrektora Złotoryjskich Zakładów Wyrobów Filcowych za ofiarną pracę w okresie uruchomienia fabryki, za mobilizację załogi na odcinku przeszkolenia zawodowego i rozszerzania ruchu racjonalizatorskiego w Zakładach".

W 1953 r. podjęto decyzję o przeprofilowaniu niektórych zakładów filcowych w kraju. Rozpoczęto produkcję tzw. filcowego obuwia domowego. Była to pierwsza tego typu produkcja obuwia formowanego na kopytkach metalowych z szytymi lub klejonymi podeszwami i obcasami.

*

Załoga fabryki, mimo wysiłków służb dyrektora Mieszczaka, nie bardzo się angażowała w tzw. życie kulturalne. Za to bardzo prężnie działał fabryczny klub sportowy „Włókniarz". Były w nim sekcje tenisa stołowego, lekkoatleci i drużyna piłki nożnej w klasie A okręgu jeleniogórskiego. Organizatorem sekcji lekkoatletycznej i jednocześnie jej zawodnikiem był Ludwik Łaciak, który w skokach wzwyż uzyskiwał wynik 170 cm, co przy jego niskim wzroście było niemałym wyczynem. Funkcję prezesa klubu sprawował dyrektor fabryki, który w ten sposób mógł wspierać finansowo jego działalność.

*

Jednak mimo tak dobrych wyników produkcyjnych i dobrej współpracy z załogą, dyrektor Antoni Mieszczak zdecydował się wyjechać ze Złotoryi i porzucić swoje ukochane dziecko, swoje dzieło, swoją dumę - fabrykę kapeluszy, a potem wyrobów filcowych, którą przecież tworzył od podstaw.

Tak tłumaczy we wspomnieniach tę decyzję:

Moje odejście z zakładu nie nastąpiło na skutek zaniedbania lub niedopełnienia obowiązków, tylko na moją osobistą prośbę. Moja córka po ukończeniu szkoły podstawowej nie miała możliwości uczęszczania do szkoły średniej, gdyż w tych latach w Złotoryi nie było ani liceum, ani innej średniej szkoły. Pozostawał codzienny dojazd do Wrocławia, co na dłuższą metę było nie do przezwyciężenia. Rok później te same problemy dotyczyłyby mojego syna.

Moje prośby o umożliwienie mi powrotu do Bielska trwały prawie pół roku. W końcu, gdy się zobowiązałem do znalezienia następcy, udzielono mi takiej zgody.

Od 1 listopada 1953 r. kolejnym dyrektorem Złotoryjskich Zakładów Wyrobów Filcowych został Jan Rukawiczka.

Szczerze przyznać muszę, że z żalem opuszczałem zakład i miasto. Czułem się bardzo zżyty z tym środowiskiem, gdzie miałem bardzo dużo serdecznych przyjaciół, a załoga, którą kierowałem, zawsze była przyjazna, życzliwa i dzielna.

Na podstawie wspomnień Antoniego Mieszczaka opracowała ***Agnieszka Młyńczak***

Solingen w Złotoryi

W przyszłości chciałbym, jeśli starczy mi sił i redakcja pozwoli, a „Echo Złotoryi" przetrwa, w formie usystematyzowanej, a nie wycinkowej i doraźnej - przedstawić czytelnikom wszystkie kontakty naszego miasta w aspekcie międzynarodowym. Dzisiaj pozostanę jeszcze w klimacie omówienia wyrwanego z kontekstu wydarzenia, jakim jest wizyta w Złotoryi gości z niemieckiego Solingen. Nie jest to miasto jedno z wielu w Północnej Nadrenii Westfalii. Przed 50 laty Solingen przyjęło patronat nad mieszkańcami przedwojennego powiatu złotoryjsko-chojnowskiego, którzy w wyniku zmiany granic zostali z tego terenu wysiedleni (oni sami powiedzą: wypędzeni). W ten sposób Solingen stało się dla nich „duchowym Heimatem". Spotykają się tu corocznie a władze miejskie pomogły im zorganizować przy archiwum miejskim (Stadtarchiv) - „Izbę Złotoryjską", w której zgromadzili regionalną literaturę, pamiątki z Goldbergu itp. Dla współczesnej Złotoryi patronat nie miał żadnego praktycznego znaczenia.

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej miało świadomość takiego stanu rzeczy na podstawie literatury a także informacji od Goldbergerów, którzy zdecydowali się pozostać w polskiej Złotoryi. W rok po powstaniu naszego stowarzyszenia zdecydowaliśmy się na pierwszy listowny kontakt (1988). Mam nadzieję, że zbytnio nie zaszokuję młodszego pokolenia informacją, iż korespondencja z Solingen (także z innych miast) była otwierana i sprawdzana, a niektóre rzeczy do nas w ogóle nie dotarły. Władze Solingen pomogły wydać nam przewodnik po Złotoryi, również okazały pomoc przy innych wydawnictwach.

Ze strony władz Złotoryi pierwszy sygnał wyszedł za kadencji burmistrza Kazimierza Zwierzyńskiego. Nie przyniosło to niestety żadnego efektu. Utrzymały się natomiast kontakty z TMZZ a także z chórem nauczycielskim „Bacalarus". Nową jakość zyskały nasze więzi, gdy przed czterema laty Gimnazjum Vogelsang z Solingen złożyło TMZZ ofertę współpracy międzyszkolnej - temat podjął bez zahamowań dyrektor Gimnazjum nr 1 - Andrzej Skowroński. Od tego czasu współpraca nie tylko trwa, ale jest stale rozszerzana.

Trzeci krok w kierunku Złotoryi Solingen poczyniło wiosną 2007 r., gdy burmistrz Heine Eugen Bertenburg zainspirował znaną już w Złotoryi Juttę Graeve-Wölbling do zorganizowania w Złotoryi wizyty przyjaźni i pojednania. Doszła ona do skutku w dniach 15-20 października 2007 r.. Wizytę niemieccy goście rozpoczęli od spotkania z burmistrzem Złotoryi, panem Ireneuszem Żurawskim. Złożyli także wizytę w Liceum Ogólnokształcącym oraz w ośrodku TMZZ, gdzie spotkali się z zarządem Towarzystwa, Radą Programową oraz wójtem gminy Złotoryja panią Marią Leśną. W następnych dniach odbyły się spotkania z burmistrzem Chojnowa oraz burmistrzem Świerzawy. Odbyli również podróż w Karkonosze.

Przy tej okazji chciałbym opisać, jak przed około siedmioma laty zostaliśmy z Juttą Grave poddani podobnej presji - ona w Solingen, ja w Złotoryi. Otóż, pozytywne nastawienie i przychylność Jutty Grave (choć podszyte żalem) do Polski i Polaków nie przez wszystkich z jej otoczenia było i jest akceptowane. Naraziło ją to na ataki w czasopismach. Ten szturm „twardogłowych" (dosłownie: Steinköpfe) mężnie jednak przetrwała. Z pracy nie mogli jej zwolnić, gdyż pracowała już tylko społecznie. Mniej więcej w tym samym czasie epigoni złotoryjskiego „Chomeiniego" rozpoczęli intensywne zbieranie haków (to „zajęcie" nie jest wcale wynalazkiem obecnie rządzących!) na Alfreda Michlera. Chciano pokazać złotoryjanom (i moim licealistom) jakim to jestem zażartym „germanofilem" (Gazeta Wrocławska). Te moje ówczesne działania tak dalece „szkodziły" wizerunkowi władzy i miasta, że burmistrz musiał (wiem, że musiał) zwolnić mnie z pracy w Wydziale Promocji (2001). Tak to czasem w życiu bywa, ale ja działam tak samo i teraz mnie już też nikt nie zwolni ze współpracy z obecną władzą miasta.

W składzie grupy wycieczkowej z Solingen jedynie sześć osób w dużym autobusie stanowili Goldbergerzy. Na czele grupy stał burmistrz Solingen, a w jej składzie było jeszcze trzech członków Rady Miasta Solingen, dyrektor Stadtarchiv, wicedyrektor Gimnazjum Vogelsang oraz inni mieszkańcy Solingen, reprezentujący różne instytucje. Wszyscy oni byli w Złotoryi po raz pierwszy i być może i ostatni, dlatego niezmiernie ważne jest, jakie z tego krótkiego pobytu wyniosą (wywiozą) wrażenie po 60 latach naszego tu władarstwa.

Usiłowałem to uzmysłowić wszystkim, którzy mogli i powinni mieć wpływ na to, lecz odniosłem wrażenie, iż moje intencje nie zawsze zostały właściwie zrozumiane. Osobiście pozostałem wierny mojemu założeniu: w trakcie wyjazdów w teren oraz spacerów po mieście zwracałem głównie uwagę na II Złotoryję, która powstała w ostatnich sześćdziesięciu latach oraz na te elementy miasta, które są rezultatem dobrej współpracy polsko-niemieckiej.

Alfred Michler

Honorowa - wypędzona

Robert Pawłowski: *Czuje się Pani w dalszym ciągu wypędzona?*

Jutta Graeve: Tak, w stu procentach. Mieszkałam w Polsce jeszcze przez rok po zakończeniu wojny i potem zostałam wyrzucona ze swojego domu przez polską milicję razem z matką i siostrą. Wcześniej przekroczyłam nielegalnie granicę, aby spotkać się z moim ojcem, który będąc lekarzem, chciał wrócić na Śląsk, ponieważ słyszał, że potrzebni są tam lekarze. Mój ojciec za czasów narodowego socjalizmu był zaangażowany politycznie, wiedzieliśmy, że jeżeli przekroczy granicę, nie ma żadnych szans, żeby przeżyć. Dlatego musiałam go odnaleźć, żeby powstrzymać przed pojawieniem się na Śląsku. Najwłaściwszym określeniem tego, co spotkało moją matkę i siostrę osiem tygodni później, jest właśnie słowo „ wypędzenie". Rano jeszcze nic niepokojącego się nie działo, a wieczorem otrzymały wiadomość, że następnego dnia rankiem mają się pojawić na Rynku. Bagażu mogły wziąć tylko tyle, ile uniosą. Zostały przewiezione do Legnicy, do obozu przejściowego, z którego wagonami towarowymi przetransportowano je na zachód. Cztery dni w drodze bez żadnego zaopatrzenia, a więc dokładnie to, co słyszy się w horrorach opowiadanych o wypędzeniu. Ale to już przeszłość. Nie można wiecznie nią żyć.

Kiedy widzę polityczną sytuację w Polsce, słyszę tę nagonkę na Niemców, ten strach przed wszystkim, co niemieckie, przed germanizacją, to zawsze myślę: Polacy to przecież chrześcijanie. Swój uraz do wypędzeń mogłam przezwyciężyć, ponieważ powiedziałam sobie: nasza chrześcijańska wiara nakazuje nam wybaczenie i zrozumienie. Miałam przy tym wielkie szczęście, że tu w Złotoryi trafiłam na Alfreda Michlera. Długoletnia przyjaźń, trochę na odległość, przerodziła się w ostatnich latach w bardziej serdeczną. To jest moja odpowiedź na temat wypędzeń. W czasie wojny wydarzyło się bardzo wiele złego. ... O wiele jednak ważniejsze jest to, że dzisiaj tu siedzimy, że spędziliśmy tu kilka dni, że się zgadzamy... To jest ważniejsze, dużo ważniejsze.

RP: *Uczęszczała Pani do szkoły w Złotoryi. Dojeżdżała Pani codziennie do szkoły?*

JG: Tak, dojeżdżałam ze Świerzawy. Pociąg wyjeżdżał wpół do ósmej ze Świerzawy, dlatego codziennie spóźnialiśmy się na lekcje 10 minut, bo pociąg tak docierał do Złotoryi. Wykorzystywaliśmy to maksymalnie. Do domu mogliśmy jechać dopiero o wpół do trzeciej. Czasami jeździłam rowerem. Byłam złą uczennicą, lubiłam tylko dwa przedmioty: niemiecki i historię. Wszędzie tam, gdzie wymagana była pilność, kiedy należało się uczyć słówek, na przykład łaciny, było ciężko. Całe szczęście, że siedziałam w jednej ławce ze swoją przyjaciółką. Gdyby nas rozsadzono, byłoby to prawdziwą katastrofą. Lekcje trwały trzy kwadranse. W czasie wojny grono pedagogiczne składało się głównie ze starszych osób i kobiet. Wszyscy emerytowani nauczyciele wrócili do pracy. Mieliśmy bardzo dziarskiego dyrektora, który ubierał się w skórzane spodnie, jedną nogę miał krótszą i miał jamnika, i zawsze się go bardzo baliśmy. Oprócz tego... ach, nie mieliśmy sali gimnastycznej, teraz macie piękną salę. My mieliśmy salę w mieście i musieliśmy na lekcję gimnastyki maszerować przez miasto. ...

RP: *A po lekcjach?*

JG: Internat miał swoją kuchnię. Dojeżdżający uczniowie mogli z niej korzystać, ale musieli oddawać swoje kartki żywnościowe. ...

RP: *A jak pani zapamiętała z tamtych czasów Złotoryję?*

JG: Małe miasto, ..., kawiarnia, do której chodziliśmy na lody. Właściwie nie poznałam wówczas Złotoryi zbyt dobrze. Chodziłam do szkoły, po lekcjach wracałam do domu. Ważniejsza była wtedy dla mnie Świerzawa. Złotoryja po wojnie wyglądał bardzo smutno, szkoła była zburzona, wiele ruin w rynku. Miałam odwagę w lecie 1945 , kiedy wszystko było zajęte przez Rosjan i polską milicję, przyjść pieszo ze Świerzawy do Złotoryi, żeby odwiedzić przyjaciółkę, która tu mieszkała i wrócić tak samo do domu. ... Nam było wszystko jedno, byłyśmy wtedy młode. Muszę przyznać, że po wojnie Rosjanie nie zgwałcili tu żadnej dziewczyny, w każdym razie nie w miastach.

A gdzie w Świerzawie pani mieszkała?

JG: Obok ewangelickiego kościoła, w środku miasta. Jak się wychodziło z kościoła , to na lewo, to ten duży zielony dom, który zachował się nie tylko na widokówkach.

RP: *Co godnego uwagi było w przedwojennej Świerzawie?*

JG: Basen i kort tenisowy. ...

RP: *Co się działo w Świerzawie przed nadejściem frontu?*

JG: Nie wiem, zostałam powołana do Służby Pracy Rzeszy. Pamiętam, że martwiłam się bardzo o matkę i młodszą siostrę. Moja matka uruchomiła wtedy nasz samochód, którego nie wolno było przez te pięć lat używać i przejechała z trzema dorosłymi osobami i trojgiem dzieci naprawdę małym autkiem przez góry, w lutym, po oblodzonych drogach.

RP: *Po pojawieniu się pierwszych polskich osadników Niemcy wiedzieli, że będą musieli opuścić te ziemie?*

JG: W listopadzie / grudniu 1945 roku pojawiły się ogłoszenia, że ludność niemiecka zostanie wysiedlona. Wydawało się to nam nie do wiary, dokąd mieliśmy się wynieść? Z Polakami nie mieliśmy wówczas prawie żadnego kontaktu. Natomiast mieliśmy prawie serdeczne stosunki z Rosjanami. Mogę mówić jedynie o Świerzawie. Świerzawa miała bardzo, bardzo dobrego komendanta. Rosyjskiego komendanta. Energiczny, dbał zarówno o ludność cywilną, jak i o własnych żołnierzy. Dzięki temu Świerzawa była stosunkowo bezpieczna. A potem przyszli Polacy. Pierwsze, co zrobili, to mnie posadzili. Zaaresztowali. ... Kiedy w zeszłym roku byłam u burmistrza w Świerzawie, zapytał mnie, czy byłam już w ratuszu. Odpowiedziałam, że tak, na dole w piwnicy. Ale to już przeszłość. Nigdy nie mieliśmy przyjaznych stosunków, aż do wypędzenia. Byłam zobowiązana do pracy, najpierw u Rosjan, a potem w polskiej rodzinie, byłam służącą. Trudno wtedy mówić o międzyludzkich kontaktach. Jak już wspominałem, kiedy dowiedzieliśmy się, że ojciec żyje - 24 marca 1946 roku opuściłam Świerzawę. To było niebezpieczne, mieliśmy zakaz opuszczania miejsca pobytu. Moja matka została wypędzona w czerwcu 1946 roku.

RP: *Jak to się odbyło? Czy Niemcy wiedzieli o tym wcześniej?*

JG: Moja matka dowiedziała się wieczorem, że następnego dnia rano musi się zameldować. Ale wiedzieli oczywiście, że to nastąpi i w miarę możliwości przygotowali się do tego.

RP: *Polacy, którzy przyjechali w te strony to byli głównie przesiedlency z ziem wschodnich. Przez lata żyli w przekonaniu, że wrócą do siebie. Czy Niemcy też*

dokończenie na stronie 6.

Niemiecki burmistrz nie nudzi się

Burmistrz Heinz-Eugen Bertenburg w rozmowie z Alfredem Michlerem

Robert Pawłowski: *Na czym polegała i na czym polega obecnie opieka Solingen nad byłymi złotoryjanami?*

Burmistrz Solingen - Heinz-Eugen Bertenburg: Uważam za fantastyczne, że można przeprowadzić wywiad ze świadkiem tamtych czasów. Ci ludzie powoli wymierają. Jestem o pokolenie młodszy od pani Graeve, urodziłem się w czasie wojny. Z tamtych czasów nic nie pozostało mi w pamięci z pierwszych lat patronatu. To może opowiedzieć p. Graeve. Wtedy było to ponad tysiąc osób z dawnego powiatu złotoryjsko - chojnowskiego i Świerzawy (wyłączywszy NRD), którzy mieli nadzieję na tymczasowość swojej sytuacji i szukali miejsca, gdzie mogliby się spotykać. Temu, że ta sytuacja trwa nadal, winny jest późniejszy rozwój sytuacji politycznej i brak punktów stycznych między komunizmem a kapitalizmem.

RP: ***Jest to pierwsza wizyta władz Solingen w Złotoryi. Czy do tej pory władz Solingen nie interesowało miejsce, z którego pochodzą ich podopieczni?***

H-EB: Odbycie takiej wizyty przez wiele lat nie było w ogóle możliwe. Dopiero od momentu, kiedy otwarły się granice, można było o tym pomyśleć.

RP: *Czy widzi pan jakieś płaszczyzny, na których byłaby możliwa współpraca między Złotoryją a Solingen?*

H-EB: Takie kontakty już istnieją. Gimnazjum w Solingen ma kontakty z Gimnazjum nr 1 w Złotoryi i odbywają się wymiany młodzieży. Jest z nami zastępca dyrektora naszego gimnazjum. Istnieją kontakty z archiwum miejskim Solingen i historykami złotoryjskimi. Poza tym straż pożarna z Chojnowa współpracuje z młodzieżową strażą pożarną w Solingen. Myślę, że w Solingen pojawia się coraz silniejsza świadomość , że tej okolicy należy się większe zainteresowanie. Dlatego w tej grupie znajduje się 6 byłych mieszkańców Złotoryi a reszta to mieszkańcy Solingen (26 osób).

RP: *Z polskiej perspektywy zwłaszcza zachodnie landy Niemiec są bardzo poukładane. Czy bycie burmistrzem w takim mieście nie jest zbyt nudne?*

H-EB: Wcale tak nie uważam. Mam mnóstwo zajęć, tak bardzo poukładane też to nie jest. Byłem kiedyś nauczycielem. Obecnie jestem na emeryturze. Moim zdaniem uczniowie w tutejszej szkole są porządniejsi niż w naszej szkole. Bardziej zdyscyplinowani.

RP: *Czym burmistrz zajmuje się na co dzień? Słyszałem, że władze miejskie budują sobie nowy ratusz.*

H-EB: Mamy mnóstwo roboty. Miasto źle stoi finansowo. Nasz budżet miejski podlega kontroli zarządu okręgu. Ratusz nie jest budowany ze środków miejskich. Zajmuje się tym inwestor, od którego po wybudowaniu miasto wynajmie pomieszczenia. Niepotrzebny budynek dotychczasowego ratusza zostanie sprzedany, a środki zasilą budżet.

RP: *Z jakimi większymi problemami mają do czynienia na co dzień władze miejskie?*

H-EB: Solingen to stare miasto przemysłowe. Stary przemysł nie ma już takiego znaczenia jak niegdyś i dawne struktury przemysłowe muszą ulec przekształceniu. Żeby zyskać więcej miejsc pracy niż utracimy przy restrukturyzacji przemysłu, musimy nastawić się na usługi. Bezrobocie kształtuje się u nas na poziomie 10 %.

RP: *Solingen jest typowo przemysłowym miastem, ale dużą wagę przywiązuje się tam do turystyki.*

H-EB: Nie jesteśmy miastem przemysłowym w takim rozumieniu, jak miasta w Zagłębiu Ruhry. W ubiegłym wieku było to także miasto zieleni. W pobliskich górach mamy lasy, w dolinach -strumienie. Większość naszych przedsiębiorstw to ,tak jak kiedyś, małe zakłady. Nie mamy do dzisiaj wielu dużych zakładów. Mamy wprawdzie 165 tys. mieszkańców ale niezbyt dużo wielkich zakładów. Istnieją 2, może 3 zakłady, które zatrudniają więcej niż tysiąc osób. Pozostałe zakłady mają od 20 do 50 zatrudnionych. Obecnie najważniejszym zadaniem jest kształcenie i inwestowanie w szkoły, w dzieci i młodzież. Społeczeństwo się zmienia, zmierza obecnie w kierunku szkół całodziennych, czyli takich, w których dziecko przebywa cały dzień. Oznacza to, że musimy rozbudowywać szkoły, zatrudniać w nich więcej personelu.

RP: *Złotoryja staje obecnie przed wyborem: przemysł czy turystyka? Jak jest w Solingen?*

H-EB: Solingen jest miastem z bogatą historią, położonym w górskiej okolicy. Próbujemy to wykorzystać. W 1975 roku przygotowaliśmy do tego celu część miasta z zamkiem, który był siedzibą najważniejszego człowieka w całej Rzeszy po cesarzu. Związany z tym miejscem jest także teatr z Düsseldorfu . Zamek, klasztor to historia, z której korzystamy.

Nie możecie wyżywić 16, 17 tysięcy mieszkańców wyłącznie z turystyki. Potrzebujecie struktur gospodarczych z bardzo różnorodnych branż, z czego obecnie najważniejsze są usługi. Macie dobrą ofertę turystyczną, ale statystycznie raczej nie na cały urlop, a np. na podróż poślubną. My mamy dużo rzeczy wartych obejrzenia, ale to oferta także na krótki urlop, głównie z powodu pogody. Dokąd ludzie jeżdżą dzisiaj przede wszystkim na urlopy? Albo na narty, na śnieg, albo na słońce. Tego oczywiście nie jesteście(my również) w stanie zapewnić. Mamy gastronomię, hotele wysokiej klasy, ciekawą okolicę, nie możemy jednak ściągnąć tylu turystów, ilu byśmy chcieli.

RP: *Co pana najbardziej zaskoczyło, zrobiło na panu wrażenie w Złotoryi?*

H-EB: Osobiście, od tego muszę zacząć, bardzo przeżyłem skutki upadku komunizmu w Niemczech. Bardzo często, jeszcze przed upadkiem komunizmu, regularnie spędzałem urlopy w Turyngii i obserwowałem bardzo dokładnie rozwój tych wiosek i małych miasteczek. Mam takie osobiste wrażenie, że Polska jest obecnie na etapie, na jakim było NRD pięć lat po upadku komunizmu. Na przykład w Lipsku. można obecnie zobaczyć przy jednej ulicy cztery domy po remoncie i trzy, przy których nic nie zrobiono. To samo dzieje się w Zgorzelcu. Można zaobserwować podobne etapy rozwoju.

Część drogi, pozytywnej drogi, już jest za wami, ale przed wami jeszcze bardzo dużo do zrobienia.

Dziękuję panu Alfredowi Michlerowi za pomoc w przeprowadzeniu rozmowy, oraz Annie Chrzanowskiej za tłumaczenie tekstu.

Robert Pawłowski

Sprzątamy nasz świat

15 września, jak co roku, nasza szkoła włączyła się w ogólnopolską Akcję Sprzątanie Świata. W sprzątaniu naszych Małych Ojczyzn czyli każdej z jedenastu wsi, z których pochodzą nasi uczniowie, zaangażowaliśmy również rodziców i sołtysów.

Rano zebraliśmy się w świetlicach wiejskich, żeby uświadomić wszystkim wagę celów naszego przedsięwzięcia. Wybrani uczniowie przedstawili też główne założenia tegorocznej akcji: jak segregować śmieci, jak oszczędzać wodę i energię.

Podzieleni na grupy wspólnie z nauczycielami, rodzicami i sołtysami wyruszyliśmy na sprzątanie. Porządkowanie przebiegało niezwykle sprawnie i szybko. Nie daliśmy szans żadnym śmieciom, nawet tym pozornie ukrytym. Ach, jak przyjemnie było po skończonej pracy popatrzeć na czyste wsie i lśniące przystanki.

Niestety, nie daliśmy rady usunąć dużych dzikich wysypisk śmieci, które nie tylko są niebezpieczne dla środowiska, ale bardzo negatywnie wpływają na wizerunek naszych wsi i świadczą o braku odpowiedzialności niektórych mieszkańców.

Akcję podsumowaliśmy przy ogniskach, które zorganizowali sołtysi wsi.

Piekąc kiełbaski i delektując się ciastami upieczonymi przez nasze mamy, złożyliśmy postanowienie. Będziemy dbać o porządek przez cały rok i doprowadzimy do likwidacji dzikich wysypisk! Czy się uda? Zobaczymy za rok?

Koordynatorem akcji była mgr Joanna Cieśla. Wraz z Dyrektorem Szkoły Podstawowej w Gierałtowcu chcemy bardzo podziękować za pomoc i przyłączenie się do akcji Sołtysom wsi: Gierałtowiec, Lubiatów, Kwiatów, Goślinów, Pyskowice, Wyskok, Brennik, Podolany, Dzwonów, Strupice, Ernestynów.

Uczniowie Szkoły Podstawowej w Gierałtowcu

Zaduszki i dzień Wszystkich Świętych sprawiają, że nasze myśli podążają śladami Nieobecnych. Oczami wyobraźni przywołujemy obrazy z przeszłości, uśmiechamy się do bohaterów tamtych dni. Teraz nie nadrobimy spotkań, czułości, obecności - już nie. Ale możemy ocalić od zapomnienia i nie pozwolić czasowi na zatarcie śladu Ich istnienia.

27 kwietnia 2007 r. w wieku 74 lat odszedł od nas Gunter Feilhauer, złotoryjanin z urodzenia i zamiłowania. Złotoryję opuścił już jako dorosły mężczyzna, ale wciąż darzył sentymentem swoje rodzinne miasto. Przez lata gromadził pamiątki, spotykał się z mieszkańcami i wzbogacał wiedzę historyczną o Ziemi Złotoryjskiej. W zmaganiach z historią wspierała Go ukochana żona Christl (ze starego złotoryjskiego rodu Feige).

Złotoryję odwiedził w 2003 r., kolejną podróż odbyła za nich dwoje pani Christl, jej serce i aparat fotograficzny zapamiętały te miejsca, w których pan Gunter chciał być. Sycił się opowieściami, marzył o wielkiej wyprawie do korzeni.

Niestety nie zdążył, podstępna choroba zawładnęła nim tak, że zasnął, by odpocząć, a sen okazał się snem wiecznym.

Cześć jego pamięci.

Danuta Sosa.

dokończenie ze strony 5: Honorowa - wypędzona.

mieli tę nadzieję?

JG: Wierzyliśmy w to do połowy lat pięćdziesiątych. Potem ta nadzieja zniknęła. ... Inaczej było na Górnym Śląsku. Na Dolnym Śląsku mamy żywotne niemieckie towarzystwa społeczno – kulturalne. W Legnicy byli to cywilni pracownicy Armii Czerwonej, w Wałbrzychu górnicy, którym nie pozwolono po wojnie wyjechać. Słyszałam, że było to 80 tysięcy Niemców, którym nie pozwolono wyjechać. Rozwinęli oni oczywiście własne życie kulturalne i w latach pięćdziesiątych w Wałbrzychu istniała niemiecka orkiestra i niemiecka grupa teatralna, także w Świdnicy ...

I mam nadzieję, wielką nadzieję, że ta tendencja .... z Warszawy trochę się zmieni. Pozytywnie. Powiedziałam niedawno, w referacie na sesji w październiku 2006 roku w Złotoryi, że panowie Kaczyńscy powinni być z nami, żeby zobaczyć, jak funkcjonuje polsko-niemiecka przyjaźń…

***RP:** Odbieram panią jako osobę przyjazną Polsce, ale chyba nie zawsze tak było. Kiedy nastąpił przełom?*

JG: Przez pierwsze lata ciągle mieliśmy nadzieję na powrót do domu i oczywiście te pierwsze lata były pełne goryczy. Jest bardzo ciężko żyć cały rok bez żadnych praw, a tak było po czterdziestym piątym roku, kiedy Rosjanie musieli nas chronić przed polską milicją, a kiedy odeszli, staliśmy się zupełnie bezradni. W 1972 r. byłam z pierwszą polityczną wycieczką w Polsce. Jeszcze przed podpisaniem układu wschodniego. Przyjaźni nie mogliśmy wówczas odczuwać. Byliśmy tak chronieni, że niekontrolowane rozmowy z ludźmi nie były w ogóle możliwe. Kiedy runął mur, i nagle ludzie tutaj mogli otworzyć usta, i zaproponowali nam współpracę, musieliśmy przećwiczyć słuchanie ich. W czasach komunizmu miałam zabroniony wstęp do złotoryjskiej szkoły i zostałam z krzykiem przegoniona przez dozorcę, ponieważ otworzyłam drzwi do sali sportowej. A potem upadł komunizm i otrzymaliśmy zaproszenie od kierownictwa złotoryjskiego liceum do odwiedzenia szkoły jako dawni uczniowie.

***RP:** Kiedy to było?*

JG: W 1992 roku albo 1993. Przyjechaliśmy tu i naszym tłumaczem był Alfred Michler. I wtedy się zaczęła nasza znajomość. Próbowałam też ciągle zabiegać o porozumienie w Solingen, ale wciąż coś się nie udawało. Polsko-niemieckie porozumienie było zawsze głównym celem mojej pracy. Zawsze chciałam mieszkańcom Solingen, miastu Solingen, oficjalnie pokazać, jak piękna jest nasza mała ojczyzna. Miasto Solingen od 50 lat sprawuje patronat nad wypędzonymi z tej ziemi, nie wiem, czy pan to rozumie, ale kiedy my, wypędzeni, zaczynaliśmy życie na zachodzie, poszczególne miasta przyjęły patronaty nad grupami mieszkańców z dawnych powiatów. Patronat Solingen miał wpływ na całe nasze dalsze życie. Na pierwsze spotkanie mieszkańców przedwojennego powiatu do Solingen przyjechało tysiąc dwieście osób. Większość już nie żyje, teraz przyjeżdża tylko dwieście osób. Wydajemy gazetę o naszej dawnej ojczyźnie. Pamiętam, jak bardzo byli szczęśliwi moi rodzice, gdy ukazał się pierwszy numer naszego pisma.

Moim marzeniem, od momentu, kiedy tak dobrze zaczął funkcjonować projekt szkolny było, żeby oprócz patronatu powstało również partnerstwo Złotoryja – Solingen. Główną przyczyną, dla której to się nie udawało, były finanse. Nie były w Solingen złej woli, ale przede wszystkim problemy finansowe miasta stały na przeszkodzie. Wiecie sami, że partnerstwo to koszty. Dlatego bardzo się cieszę, jest to ukoronowanie pracy mojego życia(a mam 80 lat), że jest dzisiaj z nami burmistrz Solingen, który jest inicjatorem naszego obecnego wyjazdu.

***RP:** Co się stało, że ziomkostwa zaczęły w inny sposób postrzegać problem granic?*

JG: Dr Hupka był bardzo uczciwym człowiekiem. Nie zgadzał się, żeby wszystkich mierzyć jedną miarą, uważał, że należy dostrzegać różnice. Pokazał, że jest gotowy do współpracy z nową demokratyczną Polską. Zrobił tak wiele dla swojego rodzinnego miasta Raciborza, że jest dzisiaj jego honorowym obywatelem. Organizował zbiórki pieniędzy dla miasta, pomagał w finansowaniu prac budowlanych, dzięki temu mogli położyć kanalizację, przyczynił się do ponownego postawienia pomnika Eichendorffa... To wszystko załatwiał dla swojego rodzinnego miasta. Dlatego robi mi się smutno, kiedy zdarzają się takie rzeczy jak ta z Eriką Steinbach, karykaturami itp. tak nie można. Jesteśmy przecież w Unii. Interesy narodowe, zawsze, kiedy to tylko możliwe, należy podporządkować wspólnemu dobru. Boli mnie w tej chwili np. jeśli w Brukseli podejmowane są jakieś decyzje i 25 państw mówi „tak", a Polska „nie". Polska staje w tej chwili poza szeregiem, stawia swoje interesy ponad dobrem wspólnym. Inne państwa też to robią, ale nie tak ostro. Nie jestem politykiem unijnym, nie mam znaczenia w Warszawie, uważam po prostu za piękne, że po 50 latach patronatu jesteśmy, my wypędzeni, tak serdecznie przyjmowani w Złotoryi.

***RP:** Nie chce Pani żyć przeszłością…*

JG: Delektuję się tym, że przyjeżdżam do Złotoryi i Świerzawy, że przyjeżdżam do domu, że mogę to robić, ponieważ mam tu przyjaciół. Jest dla mnie bardzo miłe, kiedy idę przez Złotoryję i co chwilę ktoś mnie pozdrawia. Poza tym już od dwóch dni jestem honorowym członkiem TMZZ…

***RP:** Kiedy przyznawano pani honorowe członkostwo TMZZ widziałem, że pani się bardzo wzruszyła.*

JG: Byłam całkowicie zaskoczona. I na dodatek zdarzyło się to w obecności mieszkańców Solingen. Było to dla mnie szczególną radością. Nawet nie wyobrażałam sobie czegoś takiego.

Bardzo pozytywnie odebrałam także , że zdarzyło się to właśnie w obecności wielu osób związanych z patronatem Solingen, zwłaszcza, że mówiąc szczerze, jest wielu wypędzonych, także w moim otoczeniu, którzy moje zaangażowanie w pracę na rzecz kontaktów ze Złotoryją uważają za okropne. To, że się dzisiaj spotkaliśmy w miłej atmosferze, że ze sobą rozmawiamy, jest dla mnie szczególnie ważne.

***RP:** Dziękuję za rozmowę.*

Dziękuję panu Alfredowi Michlerowi za pomoc w przeprowadzeniu rozmowy, oraz Annie Chrzanowskiej za tłumaczenie tekstu.

Robert Pawłowski

Krucze Skały

Krucze Skały to grupa skałek wznosząca się nad stacją kolejową w Jerzmanicach. Swój wygląd zawdzięczają budowie geologicznej i materiałowi, z jakiego zostały zbudowane. W górnej kredzie na terenie Sudetów osadziły się średnie i gruboziarniste piaskowce spojone niezbyt odpornym spoiwem ilasto - krzemionkowym. Piaskowce te powstały w płytkim morzu górno kredowym, utworzone z nanoszonych do tego zbiornika produktów wietrzenia „wysp" sudeckich. Największą miąższość osady te osiągały w Niecce Śródsudeckiej, budując dzisiejsze Góry Stołowe. Wypłycanie się morza kredowego, i późniejsze ruchy tektoniczne w trzeciorzędzie, spowodowały wyniesienie tych osadów na powierzchnię, po uprzedniej ich petryfikacji (zeskaleniu). Piaskowce te posiadają ciekawą własność pękania wzdłuż płaszczyzn Łupliwości stąd zwane są piaskowcami ciosowymi. Spękania te są usytuowane wzajemnie pod kątem około 90^0 . Powstały one w wyniku naprężeń górotworu w czasie orogenezy alpejskiej w trzeciorzędzie.

Dodatkowym czynnikiem rzeźbotwórczym była budowa tych piaskowców - poszczególne warstwy składają się z materiału skalnego o różnej grubości ziaren i różnej odporności spoiwa. Powoduje to powstawanie w obrębie górotworu bloków, oddzielonych od siebie spękaniami i podścielonych warstwami o różnej przepuszczalności. Odsłonięcia górnych części piaskowców Jerzmanickich zawdzięczamy Kaczawie. Rzeka wypreparowała na zboczach pogłębiającej się doliny zewnętrzne powierzchnie tych piaskowców. Do powstania skałek sterczących jak klocki ponad powierzchnią litej skały przyczyniły się: woda wnikająca w szczeliny spękań, i wiatr, pomagający usuwać zwietrzały i wypłukiwany materiał. Pionowe ściany skalne, sterczące nad budynkiem stacji klejowej w Jerzmanicach, są efektem działalności człowieka. Piaskowiec, ze względu na łatwość obróbki i pozyskania, doskonale nadawał się do celów budowlanych, a brak większych zasobów gliny w okolicy, powodował wzmożony popyt na ten surowiec. Bliskie położenie Złotoryi zaowocowało w eksploatacje tego materiału już od późnego średniowiecza. Piaskowiec jerzmanicki ma znakomity udział w budowlach sakralnych i świeckich w Złotoryi. Ponadto piaskowiec ten użyty został do budowy wieży kościoła św. Elżbiety we Wrocławiu, i uchodzącej za najwyższą na Dolnym Śląsku, wieży kościoła św. Jakuba w Świdnicy. U stóp istniało źródło słabej szczawy żelazistej, wykorzystywanej przez zakład balneologiczny w Jerzmanicach. Zdaniem hydrogeologów z Uniwersytetu Wrocławskiego woda nie wyschła, tylko „ uciekła" do podziemnych cieków. Pozostała tylko obudowa źródełka, odnowiona staraniem TMZZ. Nad górną krawędzią skałek wykopano w czasie wojny okopy, ale prawdopodobnie nie były one „ używane".

Ze skałek roztacza się piękny widok na dolinę Kaczawy, mającą między Krzeniowem a Jerzmanicami charakter miniprzełomu.

TMZZ okiem przedszkolaka

Dzieci w wieku przedszkolnym ciekawe są wszystkiego, co je otacza, dlatego często słyszymy pytania: „Co to ?", „Dlaczego?", „Po co?" itd. Dzieci 6-letnie budują już swoje teorie, poglądy i sądy o świecie a interesuje je wszystko! Wykorzystujemy tę naturalną ciekawość poznawczą w wychowaniu przedszkolnym, stwarzając naszym milusińskim warunki dla jej rozwoju. Najciekawsze są wycieczki i spotkania z ludźmi: Są to spotkania zarówno z osobami starszymi-zasłużonymi dla społeczności, jak i młodymi - uczniami szkół (LO) lub z harcerzami. **Każdy gość w przedszkolu staje się autorytetem dla dziecka.**

W ramach programu wychowania patriotycznego „starszaki" z ulicy Górniczej odwiedzają ciekawe miejsca w swoim mieście. Już 3.września złożyły uroczyście kwiaty pod pomnikiem Żołnierzy Wojska Polskiego na placu Lotników Polskich wśród innych, licznych złotoryjskich delegacji. Miłym gestem pana Starosty był ciężki worek słodyczy ofiarowany dzieciom. W październiku postanowiliśmy poznać miejsce, które dla dzieci było jeszcze tajemnicą do odkrycia. Zapytałam dzieci: *Jak myślicie, czym zajmują się Miłośnicy Ziemi Złotoryjskiej?*

Dzieci:

· Chronią naszą ziemię! (Ala F.)
· Zbierają papierki, aby było czysto w naszym mieście (Ania P...)
· Dzielą się z innymi chlebem (Ala F.)
· Dzielą się miłością (Kasia F)
· Jeżeli komuś wypadną pieniądze z kieszeni, to oni je znajdują i oddają... (Kuba F.)
· Albo ktoś zgubi zegarek, to też oddają (Kuba R.)
· Pomagają biednym (Paula O.)

A co spodziewacie się spotkać w siedzibie TMZZ?

Dzieci

· Skarby!!!
· Drogocenne kamienie, złote naszyjniki!

W czasie wycieczki w siedzibie „miłośników" nastąpiła konfrontacja dziecięcych wyobrażeń z rzeczywistością. Pan Roman Gorzkowski z dużym zaangażowaniem i wrażliwością przekazywał „małym obywatelom" wiedzę o dawnej Złotoryi. Wielką ciekawość wzbudzały wszystkie rekwizyty, jednak najczęściej dzieci wspominały po powrocie do przedszkola „fajną" ławkę uczniowską z dziurą na atrament, pióro ze stalówką i „dziwne" urządzenie do wyświetlania bajek. W sali złotoryjskiej uwagę przedszkolaków zwróciły rekwizyty zanikających zawodów: szewca i zegarmistrza oraz puchary grupy artystyczno - akrobatycznej „Ocelot". Dzieci zapamiętały także tytuły książek wydanych przez TMZZ i informacje o szlaku pielgrzyma „Drodze świętego Jakuba". Reasumując była to dla przedszkolaków bardzo pouczająca wędrówka w przeszłość.

Urszula Kaliciak

Złotoryja od kuchni, czyli na serowo w „Wenie"

Ostatnio przyszła mi wena na „Wenę". Chciałam zobaczyć, jak wygląda lokal po remoncie. Nie poszłam napychać żołądka, tylko wysondować sytuację. Jednak wypada coś zamówić, gdy już przekroczy się drzwi restauracji. Nie mogłam siedzieć przy stoliku i bez jakiegokolwiek widzialnego pretekstu lustrować ścian lokalu. Przyznaję – są ładniejsze niż przed remontem. Modne tynki, miła kolorystyka, ciekawe tkaniny i ryciny oprawione w ramy, nieźle, nieźle…Miałam dużo czasu na podziwianie, bo zanim kelnerka (miła, uśmiechnięta i nienatrętna) zrealizowała zamówienie, minęło pewnie kilkaset „zdrowasiek". Dobrze, że nie byłam głodna. Kiedy wyrabiałam sobie zdanie na temat wystroju wnętrza, kuchnia dwoiła się i troiła, by przyrządzić zupę cebulową, oscypek w karczku i wiejski naleśnik oraz wycisnąć… z kartonu sok grejpfrutowy. Zamówiłabym pewnie to, co lubię zdecydowanie najbardziej, czyli pizzę, której smak pamiętam z czasów, gdy „Wena" dopiero wyrabiała sobie markę na złotoryjskim rynku. Jednak pizzy w karcie nie znalazłam . A szukałam dokładnie. Jak mówią: Jeśli nie masz, czego lubisz, lubisz, co masz. Nie do końca okazało się to prawdą.

Wspomnienie pizzy odnalazłam szybko w zupie cebulowej. Jak sama nazwa wskazuje – zupa cebulowa powinna być cebulowa, a tu niespodzianka…Między kawałkami cebuli pływało coś, co przypominało z wyglądu i smaku gumę do żucia, a było żółtym serem (zamiast do pizzy dodają go teraz do zupy). Nie przyczyniło się to do podniesienia walorów smakowych potrawy. Bez sera byłoby smaczniej i taniej.

Po raz drugi z serem (na własne życzenie dla odmiany) spotkałam się podczas spożywania karczku. Oscypek, nie-oscypek otulony płatem smakowitego, soczystego mięska, polewany sosem, poprawił mi humor. Porcja nie za duża,

nie za mała - do zjedzenia doskonała. Z optymizmem zabrałam się za wiejski naleśnik z sosem czosnkowym. Naleśnik, to nazwa myląca – ostrzegam. Tu odpowiednią jest liczba mnoga. Jeden naleśnik na spodzie, na nim farsz z pieczarek, fasolki, kukurydzy, groszku, boczku, sera (znowu!), na tym kolejny naleśnik – tak wygląda potrawa. Odniosłam pozytywne wrażenie wzrokowo – smakowe.

Niestety nie były to ostatnie wrażenia sensualne. Mój zmysł powonienia, zbyt wrażliwy na dym papierosowy, wystawiłby pewnie lokalowi najniższą notę. Ja jednak biorę pod uwagę i inne przesłanki, dlatego daję „Wenie" 4 z dwoma minusami. Jeden minus za nieodżałowaną, istniejącą tylko we wspomnieniach pizzę, drugi za brak należytej wentylacji w lokalu.

Z laptopem w trumnie

W zakładzie pogrzebowym ruch jest zawsze. To interes, który się kręci niezależnie od warunków ekonomicznych w kraju. W Złotoryi rocznie odbywa się ok. 200 pogrzebów.

Dochodowy biznes? W naszym miasteczku pogrzeb kosztuje ok. 3 tys. złotych. Są miesiące, że jest 6, 7 pochówków, czasami 30. Musi się to jednak właścicielom zakładów opłacać, skoro w szesnastotysięcznym mieście prosperują dwie firmy funeralne.

Od trzech czy czterech lat konkurencją dla istniejącego od lat 90. zakładu p. Grzegorza Stafisza jest „Leonardo". Ta firma jednak musi współpracować z zakładem p. Stafisza, gdyż to on zarządza całym cmentarzem komunalnym. Jeśli „Leonardo" chce zrealizować powierzoną mu usługę, musi podpisać porozumienie z firmą p. Grzegorza i dopiero wtedy może czynić swoją przykrą powinność.

*

Zakres obowiązków pracowników zakładu nie sprowadza się tylko do pochówku.

Dzisiaj jest ładna pogoda i nie ma pogrzebów, więc panowie sprzątają liście, grabią, czasami, gdy zajdzie potrzeba, przycinają drzewa, koszą trawę. Pilnują porządku na cmentarzu. „Nie zatrudnia się tu profesjonalnej ochrony, zamyka się bramę wieczorem. Niestety, zdarzają się grabieże i inne incydenty. Dewastacje są i będą. W takich przypadkach dzwoni się na policję" - mówi Franciszek Słaby, zarządca firmy. Jednak zawsze, co noc dyżuruje w budynku firmy jeden z pracowników. Ma do swojej dyspozycji wygodny pokój, kanapę, kuchenkę, prysznic. Powinien też mieć głęboką wiarę, że na cmentarzu nie straszy. „Trzeba się żywego bać, nie umarłego" - uważa p. Słaby.

*

W Złotoryi pogrzeb trwa ok. 2 godzin, w innych miastach ten czas może być krótszy. U nas jest to czas na wystawienie zwłok, mszę i pochówek. Są takie aglomeracje, w których z powodu większej liczby pogrzebów w ciągu dnia, nie odprawia się mszy przed ceremonią, tylko w innym terminie. „W naszym mieście praktycznie nie czeka się na pogrzeb. Zdarza się jednak, że na prośbę rodziny opóźnia się czas pochówku, szczególnie, kiedy trzeba czekać na przyjazd rodziny z oddalonych miejsc. Za przechowanie zwłok nie płaci się ani w szpitalu ani w chłodni na cmentarzu. Chyba, że są to zlecenia prokuratorskie, ale to już inna historia" - wyjaśnia p. Słaby. W niektórych środowiskach wiara w zabobon nakazuje pochować bliskich przed najbliższą niedzielą, inaczej zmarły „zabierze zaraz kogoś z rodziny do siebie".

*

Zakład funeralny rozpoczyna swoje obowiązki od momentu, gdy lekarz stwierdza zgon pacjenta. Wtedy rodzina lub policja wzywa zakład pogrzebowy. Jak jest zgon tzw. domowy, można skorzystać z usług wybranego zakładu funeralnego, jeśli lekarz ma wątpliwości i jest tzw. „zgon prokuratorski", wtedy obowiązki przejmuje i zabiera zmarłego firma p. Stafisza.

Najcięższą pracą dla grabarzy jest kopanie grobu. „U nas robi się to ręcznie. Niestety, na złotoryjskim cmentarzu jest wąsko, między mogiłami mało miejsca, nie wjedzie żaden sprzęt. W zimie, kiedy jest mróz, kopie się kilofem. Czasami trzy dni kopie się taki grób. Zwykle to robi trzech pracowników. Jeden kopie, dwóch odpoczywa i na zmianę. Jest to ciężkie zajęcie. Ci, którzy kopią, potem, elegancko ubrani, niosą trumnę". W zakładzie p. Grzegorza są dwa zespoły grabarzy, więc można równolegle zrobić dwie ceremonie, np. jedną na miejscu, drugą - wyjazdową.

W tym roku pracownicy p. Grzegorza podczas kopania grobu w Wojcieszowie znaleźli skarb - metalową bańkę wypełnioną zabytkowymi monetami. Ot, „wypadek przy pracy". Niestety, ich uczciwość nie została nagrodzona. Skarb oddali i na tym sprawa się zakończyła. O znaleźnym już przestali marzyć.

*

Przygotowanie zwłok do pogrzebu odbywa się w szpitalu. Kosmetykę „do trumny" robi prosektor, który przyjeżdża z Polkowic. Maluje, czesze. Na specjalne życzenie rodziny robi nawet balsamację zwłok. Po takim zabiegu ciało może być przechowywane bez chłodni nawet przez rok. W Złotoryi raczej nikt nie korzysta z tej usługi. Jest to kosztowna ekstrawagancja.

Firma Stafisza prowadzi również sklep z ubraniami męskimi. Są to typowe garnitury. „Damskich ubrań już nie sprzedajemy, bo kobiety mają większe wymagania. One nawet po śmierci się stroją." Zazwyczaj panie, świadome swej śmierci, sugerują, wręcz nakazują rodzinie, w co mają być ubrane do trumny.

Zwłoki ubiera się normalnie, mitem jest, że zesztywnienie utrudnia tę czynność „Nie rozcinamy ubrań, rozmawia się ze zwłokami, ale o to najlepiej zapytać prosektora" - sugeruje p. Słaby. Przepisy nakazują wydać ze szpitala ciało ubrane. Jednak niekoniecznie jest to ubranie „do trumny". Wtedy przygotowaniem zajmują się pracownicy p. Stafisza. Są to na ogół młodzi mężczyźni - średnia wieku ok. trzydziestu lat. Są już oswojeni z widokiem zwłok i śmiercią. „Najgorzej chowa się dzieci. Panowie mają już swoje rodziny, własne dzieci i wtedy widok zmarłego malucha niesamowicie porusza, strasznie się przeżywa takie sytuacje." Na szczęście śmierć dziecka jest rzadkością, w roku to ok. pięciu, sześciu zgonów.

*

Ostatnio dość często pojawia się zapotrzebowanie na kremację zwłok. W tym roku w firmie p. Stafisza było już ok. 10 takich zleceń. Na złotoryjskim cmentarzu jest teraz specjalne miejsce dla urn. Niektórzy życzą sobie składać urnę do ziemi, do grobowca. Odnosi się wrażenie, że pogrzeby po kremacji nie są już rozpaczliwe, rozdzierające. Świadomość, że to nie ciało, ale prochy odprowadza się w ostatnią drogę, nie jest taka przykra. Jest taki moment podczas pogrzebu tradycyjnego, kiedy opuszcza się trumnę do grobu i ksiądz rzuca symboliczną grudkę ziemi. To niesamowicie przygnębia. Pogrzeb po kremacji oszczędza tych wrażeń. Kiedyś pogrzeb kończyło zasypanie grobu, dziś już nie robi się tego. Po opuszczeniu trumny grabarze nakładają płytę, a na niej układają wieńce (są jednak takie miejscowości, gdzie ksiądz życzy sobie zasypywania grobu podczas ceremonii). Dopiero kiedy rodzina się rozejdzie, zdejmuje się płytę, zasypuje i formuje grób. Firma p. Stafisza tak robi od 10 lat.

*

„Pogrzeby w różnych obrządkach religijnych mają swoje scenariusze" - wyjaśnia p. Słaby. „Inaczej jest u Świadków Jehowy, jeszcze inaczej u prawosławnych. Świadkowie mają pogrzeby bez krzyży, nie ma go ani w kaplicy, ani na trumnie. Zwłoki wyprowadza się z kaplicy, nie z kościoła. Nie ma księdza, tylko prowadzący, mistrz ceremonii. Żałobnicy śpiewają psalmy. Na pomnikach później umieszczają cytaty z Biblii. Pogrzeb prawosławny to wyprowadzenie zwłok z domu, modlitwa pod krzyżem, dużo jest śpiewów. Robiliśmy kiedyś taki pogrzeb pod Legnicą."

Dzieci zmarłe podczas porodu lub z martwych ciąż mają trochę odmienną ceremonię. Trumienka z ciałem nie jest wystawiana w kościele, tylko w kaplicy i nie odprawia mszy za duszę zmarłego, lecz za jego rodziców.

*

Egzotyczne i niezwykłe są ceremonie pogrzebowe związane z obrządkiem romskim. Cyganie trzymają zwłoki w trumnie w domu, w osobnym pomieszczeniu. Zanim wyprowadzi się zmarłego do kostnicy, mijają trzy dni. W tym czasie czuwa się przy trumnie. W drugim pomieszczeniu postawiony jest stół, na którym nie brakuje wódki i jedzenia. Tak też wyraża się szacunek dla zmarłych. Co ciekawe, na cmentarzu również Romowie stawiają stoły w dzień 1 listopada. „Spotykamy się często na cmentarzu, bo tam rozmawia się o zmarłym - o człowieku, jego czynach. Nigdy się nie mówi takich rzeczy, że on był złym człowiekiem, ale szukamy dobrych chwil, o dzieciach, że to był bardzo dobry muzyk, że nie było w Polsce takiego. Rozmawia się tak, pije kieliszek…"

Bardzo precyzyjnie opisane są zwyczaje związane z tradycyjnym pochówkiem żydowskim, rzadko już praktykowanym na naszym terenie. „Gdy zgon zostanie stwierdzony, należy natychmiast przystąpić do przygotowywania pogrzebu. Ciało obmywa się i owija czystym, lnianym całunem. Mężczyznom zakłada się na głowę jarmułkę i na ramiona szal modlitewny (tałes) z obciętymi frędzlami, bowiem zmarły nie będzie już uczestniczył w życiu religijnym. Na oczy kładzie się skorupki z rozbitego naczynia ceramicznego, które wcześniej zawierało wodę służącą do obmycia zmarłego. Najlepiej, jeśli pogrzeb odbędzie się tego samego dnia. Przygotowane zwłoki, zgodnie z tradycją, powinno się grzebać w poświęconej ziemi w samym całunie. Później przyjęło się chowanie w bardzo prostej, zbitej z desek trumnie, aby zbyt solidna i szczelna nie przeszkadzała zwłokom przeobrazić się w proch. Tej zasadzie byli wierni ludzie bardziej pobożni, jednak wśród liberalnych Żydów raczej nie przestrzegano tego nakazu. Przykładem może być to, że niektórzy zamożniejsi ludzie byli chowani w grobowcach, w rzeźbionych trumnach wykonanych z metalu. Nie jest niczym nagannym i uwłaczającym czci zmarłego chować go w samym tylko lnianym płótnie lub w najprostszej trumnie, zrobionej z nieheblowanych, białych desek. Poza Świętą Ziemią Izraela chowa się zmarłych w trumnach, natomiast na jej terenie używa się tylko prześcieradła do okrycia zwłok, chyba że zmarły zginął w taki sposób, iż zostało uszkodzone jego ciało, wówczas chowa się go w trumnie. Nie powinno się także wkładać zmarłemu kosztowności, jak również przyozdabiać nimi całunu i trumny. Ponieważ judaizm wyraźnie nakazuje, że zmarły powinien być oddany ziemi i pogrzebany, aby tak jak z prochu powstał, tak samo w proch się obrócił, w żadnym wypadku nie powinno się przeprowadzać kremacji zwłok. Wskazanie to nabrało szczególnego znaczenia po Holocauście, kiedy miliony Żydów zostało zamordowanych i spalonych w piecach krematoryjnych."

*

Nawet w biznesie pogrzebowym lansuje się trendy. Właściciele zakładów pogrzebowych bywają na targach i zapoznają się z nowinkami w swojej profesji. Najszybciej zmienia się moda na trumny. Nie wszędzie co prawda, bo są takie środowiska, szczególnie małomiasteczkowe, gdzie hołduje się tradycji. Tu na przykład nie przyjęły się trumny amerykańskie, płaskie, otwierane w połowie. Pewnie ze względu na cenę. Ostatnio na targach oferowano trumny z telefonami komórkowymi czy laptopami. Takie trumny kosztują nawet 20 tysięcy złotych. Cyganie kupują takie cuda. Potrafią wydać na trumnę 50 tysięcy, kupują nawet wyścielane masą perłową. Dla Romów uroczystość pogrzebowa jest również okazją do zaprezentowania statusu finansowego.

W Złotoryi nie sprzedaje się takich drogich i wystawnych trumien. Tu schodzą tradycyjne. Najtańsze są sosnowe i brzozowe, najdroższe - dębowe. Dąb dłużej wytrzyma w ziemi. Dla niektórych dębowa trumna jest znakiem prestiżu. Podobnie jak grobowce. Jednak w Złotoryi nie ma wielu chętnych na groby murowane. Grobowce są piętrowe, pozwalają na schowanie 2, 3 trumien. Dlatego są droższe.

Trumny w grobowcach rozkładają się wolniej, ciała też. Częściej zasuszają się, ulegają naturalnej balsamacji.

*

Zakład zajmuje się również ekshumacjami. Właśnie teraz zaczyna się okres (od 15 października do 15 kwietnia), kiedy możliwe są te czynności. Zwykle ekshumacje robi się wcześnie rano. Szczególnie ze względu na fakt, że wtedy nie ma na cmentarzu postronnych osób. Ludzie, wbrew pozorom, lubią makabryczne widoki. Zazwyczaj ekshumacja spowodowana jest przeniesieniem zwłok na inny cmentarz, ale bywa związana z tzw. likwidacją grobu. W tej drugiej sytuacji wykopuje się stare szczątki, dwudziestoletnie, czterdziestoletnie. Po tylu latach nie ma już trumny, zostają tylko kości. Zdarzają się ubrania, szczególnie te ze sztucznych materiałów, buty, różańce, książeczki do nabożeństwa. Ekshumację robi się ręcznie, ostrożnie. Pracownicy zakładu pogrzebowego są szczepieni na rozmaite choroby związane z pracą w specyficznych warunkach, jednak po co ryzykować. Ubrania, podwójne rękawice, maski grabarzy po wszystkim poddaje się utylizacji. Kiedy likwiduje się grób, szczątki są wkopywane w tym samym miejscu, tylko głębiej, a miejsce zasypuje się wapnem chlorowanym. Takie miejsca wykorzystuje się po pewnym czasie ponownie.

Jest też przepis, który umożliwia tworzenie zbiorowego grobu na szczątki po likwidacji mogiły. W Złotoryi tego się nie robi, nie ma takiej potrzeby.

*

Kiedyś grabarz to był najgorszy zawód, dzisiaj jest bardzo dużo chętnych do pracy. Więcej niż miejsc. Obiegowa opinia o grabarzach wskazywała na ścisły związek tych panów z alkoholem. Obecnie grabarz nie ma prawa pić. Trzeba dbać o prestiż firmy Ludzie jednak mimo wszystko czasami przynoszą wódkę, taki jest zwyczaj, żeby dać „skórkę".

Zdarza się, że niektórzy pracujący przy „kilkudniowych" zwłokach wlewają do masek alkohol, aby zneutralizować odór rozkładającego się ciała. Pracownicy firmy p. Stafisza stosują w tym celu krople miętowe jako bardziej skuteczne. „Czterodniowe zwłoki śmierdzą tak, że już pod drzwiami nie można wytrzymać, a co dopiero w środku. A tam trzeba wejść i jeszcze przy tym robić" - mówi jeden z nich.

*

Pracując w tym fachu nie wolno wyzbyć się wrażliwości. Trzeba umieć rozmawiać z ludźmi, których dotknęła tragedia. Przede wszystkim trzeba wysłuchać, uspokoić i doradzić. Człowiek, który traci najbliższych, nie jest w stanie racjonalnie myśleć, a musi zmierzyć się z biurokracją i praktycznymi decyzjami: jaka trumna, jaki wieniec, krzyż…Tu rola osoby, która przyjmuje interesantów „Trzeba rozmawiać z tymi ludźmi rzeczowo. Kiedy grają emocje, staram się ich wyciszyć. Być pomocną w każdej sytuacji. Ale stres przenoszę do domu. Bywa, że jestem zmęczona psychicznie" - mówi kobieta.

*

Pracownik czy właściciel zakładu pogrzebowego to ponury fach dla wielu z nas. „Znajomi i rodzina już przywykli do naszego zawodu" - mówi p. Słaby - „Praca jak praca. Zawód jak każdy inny." Dzisiaj obaj panowie na pewno nie żałują decyzji o odejściu z „Leny" w latach 90. Tamtego zakładu już nie ma, ich biznes, ku uciesze Thanatosa, trwa.

Iwona Pawłowska

Dziękuję Agnieszce Młyńczak za pomoc w zebraniu materiału do tekstu

Pisząc artykuł korzystałam z serwisów internetowych: poświęconych kulturze:
a) romskiej (www.p-rom.info)
b) judaistycznej (www.cpt.org.pl)

Tajemnice złotoryjskich mauzoleów

Od czasów nowożytnych na naszych terenach bogaci mieszkańcy miast i wsi wznosili sobie i swoim rodzinom mauzolea, czyli grobowce w formie monumentalnej, samodzielnej budowli, o bogatym architektonicznie wystroju.

Pierwsze mauzolea wnoszone były w XVI wieku przez możne rody na terenach wiejskich, w pobliżu ich posiadłości ziemskich. Były to początkowo skromne przybudówki przy kościołach parafialnych. Ważnym elementem ich wyposażenia były epitafia i nagrobki.

W XIX wieku zaczęto wznosić mauzolea w ośrodkach miejskich. Wznoszono je na terenie cmentarzy parafialnych, obecnie komunalnych. W Złotoryi znajduje się 15 takich obiektów, których budowę rozpoczęto właśnie w XIX wieku na dzisiejszym cmentarzu komunalnym. Rozmieszczono je głównie wzdłuż północnego muru cmentarnego. Johannes Grünewald wspomina, że podczas II wojny światowej zostały one poważnie zniszczone. Nie wyjaśnia przez kogo, można się domyślać, że chodziło mu o wojska radzieckie, które wkraczając do miasta w lutym 1945 roku dopuszczały się grabieży i zniszczeń. Podobno składowano także we wnętrzach mauzoleów niepotrzebne nagrobki XIX-wieczne i gruz. Dziś są one zamurowane, a ich wnętrze kryje w sobie niewidoczną dla oczu przechodniów historię zamożnych złotoryjskich rodzin.

Przy murze południowym, w mauzoleum należącym do rodziny Richter, odnaleziono dwa epitafia. Jedno rokokowe pryścienne epitafium, o imponujących wymiarach, należy do członków rodziny Hein i Richter zmarłych w latach 1767-1795. Najniższą jego część stanowi cokół ozdobiony siedmioma polami z ornamentyką rocailową. Trzy pola wypełnia inskrypcja, która mówi między innymi, że 15 XII 1756 urodziły się bliźnięta Johann Gottlieb Hein i Johanna Friderica Heinin, które zmarły 24 IV 1767.

Dwie duże tablice wspominają innych członków rodziny: Davida Gottlieba Heina, kupca i sprzedawcę, urodzonego 18 VI 1722 r. w Twardocicach, syna Georga Heina i Rosiny z d. Schneider, który 14 VI 1746 r. ożenił się z Marią Rosiną z d. Günther z Lubania, z którą miał pięcioro dzieci, zmarł 10 I 1775 r. w wieku 72 lat; oraz Juliane Christiane Richter z d. Hein, urodzoną 5 IX 1749, która 30 X 1775 wyszła za mąż za kupca i handlarza Benjamina Gottlieba Richtera, a zmarła 15 XI 1775 r. w wieku 26 lat.

Powyższe płyty rozdziela ornament rocailowy i roślinny. Nad dużymi tablicami są jeszcze cztery mniejsze, częściowo zapisane inskrypcjami, niestety nieodczytanymi. Z lewej i prawej strony epitafium znajdują się dwie rzeźby kobiece, jedna z kilofem, druga z dzieckiem na ręku, trzymająca w lewej ręce serce - najprawdopodobniej anioł śmierci. Całość koronuje rocailowe zwieńczenie z centralnie umieszczoną rzeźbą Zmartwychwstałego Chrystusa z krzyżem, pośród obłoków i promieni. Z prawej strony widnieje postać anioła trzymającego harfę z inskrypcją wspominającą "piękny kwiat swoich rodziców" Juliane Friderice. Z lewej strony na tej samej wysokości pozostała tylko pusta kolumna po rzeźbie.

Jest to wspaniały przykład tzw. płyty ślepej. Została przygotowana dla członków rodziny, którzy nie doczekali pochówku w swoim rodzinnym mieście. Oznajmiają nam o tym fakcie dwie puste tablice inskrypcyjne, niepokryte żadnym napisem.

Drugie epitafium, mniejsze, umieszczone zostało w posadzce, i wiele lat przykryte byto grubą warstwą gruzu. Należy ono do bliźniąt Johanny Frideriki i Johanna Gottlieba Heinów, zmarłych w 1767 roku. Epitafium ma formę prostokąta, którego centralną część stanowi tablica inskrypcyjna. Inskrypcja mówi, a raczej powtarza informacje z dużego epitafium obok, że Johann Gottlieb Hein i Johanna Friederica Hein były dziećmi Davida Gottlieba Heina i Marty Rosiny z d. Günther, urodziły się 15 XII 1756 r. Johann Gottlieb zmarł 22 IV 1767 r., natomiast Johanna Friederica 24 IV 1767 r. Zmarły z powodu choroby. Tablicę trzymają dwa uskrzydlone putta, jeden w lewym górnym rogu, a drugi w prawym dolnym rogu. W prawym górnym rogu znajdują się dwie korony.

Oba zabytki łączą i ukazują historię rodzin Richter, Günther i Hein. A co mówią inne? Niestety wnętrza innych mauzoleów są dla nas tajemnicą i dopiero czekają na swoje odkrycie.

Agata Brzozowska

Złotoryjanie w wyborach

Znamy już wyniki wyborów parlamentarnych. Frekwencja w mieście wyniosła 52,51%(tj.7 228 osób). Tutaj Platformę Obywatelską poparło 48,44 % wyborców (tj. 3 443 osoby), Prawo i Sprawiedliwość 26,28% (1 868), Lewicę i Demokratów 18,18 % (1 292), Polskie Stronnictwo Ludowe 3,42 % (243), Ligę Polskich Rodzin 1,55 % (110), Samoobronę 1,28 % (91), Polską Partię Pracy 0,86 %(61).

W całym powiecie do urn poszło 46,34%(16 669 osób) uprawnionych. Na PO oddało swe głosy 41,07% (6 859 osób), na Pis-29,31 (4 895), LiD 17,30 (2889), PSL 7,56 (1 263), Samoobronę 2,10 (350), LPR 1,53 (255), PPP 1.13 (188).

Do Sejmu kandydowało czworo złotoryjan: Anna Melska (PiS), zdobywając w okręgu legnickim 1 005 głosów(z tego w mieście 169 a w całym powiecie 283 głosy), Teresa Trybulska (LPR) - 89 (18 i 28), Krzysztof Maciejak (PO) - 3 501 (1 687 i 2 400) oraz Bartosz Jeziorski (LiD) - 377 głosów (137 i 171).

Oto wypowiedzi naszych kandydatów na kilka powyborczych pytań.

Jak Pani(Pan) ocenia wyniki wyborów parlamentarnych w kraju i w Złotoryi?

Anna Melska: *Wyniki wyborów z dnia 21 października już wszyscy znają - wygrała PO, PiS uzyskał drugi wynik w kraju i w powiecie. Każde z ugrupowań na taki rezultat pracowało dość długo, a w szczególności okres kampanii pokazał „plusy" i „minusy" PO i PiS-u.*

Dla PiS-u mógłby być lepszy i tego bym sobie życzyła. Jednak przyjmuję do wiadomości wolę wyborców oraz cieszę się, że wygrała mimo wszystko partia prawicowa.

Od ostatnich wyborów parlamentarnych, kiedy rządy objął Pis, na szczeblu samorządowym praca między nami a PO układała się dobrze, i myślę, że dalej będzie owocna.

Teresa Trybulska: *Wyborcy lubią kampanię spokojną, często nie interesuje ich rzeczywistość, czyli jaką pracę prowadziła dana opcja w parlamencie dla każdego obywatela naszego kraju i naszego miasta.*

Krzysztof Maciejak: *Uważam, że wynik wyborów przeszedł najśmielsze oczekiwania Platformy Obywatelskiej. Po wyborach w 2005 r. nie dawaliśmy do końca wiary w sondaże, które wskazywały na ponad 40 procentowe zwycięstwo. Dlatego też PO w tę kampanię wyborczą włożyła dużo pracy. Uważam, że wybory miały również charakter plebiscytu. Polacy, nareszcie najmłodsi wyborcy, poszli do urn i stanowczo zaprotestowali przeciwko państwu opartemu na politycznym chamstwie oraz niszczeniu wszelkich autorytetów i zasad. Poszli i powiedzieli zdecydowane „nie" takiemu sposobowi prowadzenia polityki, jaki demonstrował na scenie politycznej tak krajowej jak i międzynarodowej PiS. Mam nadzieję, że wybraliśmy „POmyślnie i będzie nam się żyło lepiej. Wszystkim". To także sygnał dla naszych lokalnych władarzy, że władza dana im raz - nie jest dana na zawsze.*

Bartosz Jeziorski: *Zarówno głosowanie w mieście jak i w kraju dało mi optymistyczną informację - odsunięcie od władzy Prawa i Sprawiedliwości a ich byłych koalicjantów wyrzucenie na margines życia politycznego. Widać mieliśmy dość populizmu i kłótni a wyniki te były zasługą dużej mobilizacji ludzi młodych, dotychczas niechętnie angażujących się w życie publiczne. Wyborcy trafnie ocenili ostatnie dwa lata. Wyniki w naszym mieście pokazały, że zarówno Lewica i Demokraci (18,2%) jak i Platforma Obywatelska (48,5%) mają znacznie silniejszą pozycję w regionie niż wskazywałyby na to ich ogólnopolskie osiągnięcia. Szkoda tylko, że po raz kolejny żaden kandydat z Ziemi Złotoryjskiej nie uzyskał mandatu posła.*

Jakie osobiste doświadczenia uzyskała Pani(Pan) dzięki kandydowaniu do parlamentu?

Anna Melska: *To był mój pierwszy „start", wsparcia udzieliła mi Pani Poseł Elżbieta Witek. Zostałam mile zaskoczona reakcjami mieszkańców powiatu na to, że kandyduję do parlamentu. Sympatycy dali temu wyraz, przychodząc do biura PiS-u w czasie kampanii wyborczej, kierując pod naszym adresem wiele ciepłych słów wsparcia. Przełożyło się to na mój wynik 1005 głosów, za które przy tej okazji chcę serdecznie wszystkim podziękować. Dla mnie jest to osobisty sukces , a dla PiS-u mimo przegranej, również, bo w Złotoryi zdobyliśmy o 3,02 % więcej głosów niż dwa lata temu.*

Teresa Trybulska: *Chcę podziękować wszystkim za udział w wyborach, za każdy głos oddany na mnie. Wyborcy, z którymi się spotykałam, reagowali entuzjazmem na wieść, że zgodziłam się kandydować. Bardzo lubię złotoryjan za życzliwość i uśmiech.*

Krzysztof Maciejak: *Do startu namówili mnie koledzy z PO. I jestem im za to wdzięczny. To mój pierwszy - poza ubiegłorocznymi wyborami do Rady Powiatu - start w wyborach o takiej skali. Nie jest łatwo podjąć decyzję o poddaniu się społecznej weryfikacji. Z jednej strony człowiek przez całe życie pracuje na swoje nazwisko i pozycję w naszym małym, lokalnym środowisku, a z drugiej „wystawia" się na polityczne zderzenie. Dzięki tym wyborom mogłem zobaczyć jak taka potężna partia, jaką jest PO, przygotowuje kampanię wyborczą, i jak ją prowadzi. Tu nie ma „samowolki". Każdy ma swoje miejsce w zespole. To cenne doświadczenie, ale i ciężka praca, zwłaszcza w takim terenie jak nasz powiat, gdzie większość włodarzy traktuje lokalne struktury PO jako zło niechciane i zagrożenie dla własnej pozycji. W kampanii są momenty łatwe i trudne. W tych ostatnich poznaje się ludzi. I jestem bardzo wdzięczny wielu mieszkańcom naszego miasta, powiatu i regionu za okazaną życzliwość: tak właścicielom sklepów i innych obiektów m.in. za to, że zgodzili się umieścić plakaty, banery i ulotki, jak i moim kontrkandydatom - Annie Melskiej z PiS i Bartkowi Jeziorskiemu z LiD za życzliwość, współpracę i miłe słowa podczas kampanii. Szkoda, że takiej kultury politycznej Polacy nie mogli dostrzec na szczeblu regionalnym i centralnym.*

Bartosz Jeziorski: *W trakcie krótkiej i niezwykle intensywnej kampanii poznałem bardzo wielu życzliwych ludzi. Mimo, iż nie wszystkich udało mi się przekonać do głosowania na mnie lub moją formację, to rozmowy z nimi wykazały, z jakimi problemami i oczekiwaniami mieszkańcy naszego regionu idą do urn wyborczych. Doświadczenie wszelkich aspektów przygotowania do kampanii wyborczej, jej prowadzenia i obserwowacja zachowań wyborców pozwoliło mi zweryfikować teoretyczną wiedzę, którą zdobywam jako student w Instytucie Politologii Uniwersytetu Wrocławskiego. Zarówno nowe kontakty jak i zdobyta wiedza na pewno zaprocentują w przyszłości.*

Czy żałuje Pani(Pan) swojego udziału w kampanii wyborczej i wyborach?

Anna Melska: *Nie żałuję, zdobyłam nowe doświadczenia, o których wspomniałam już wcześniej, i postaram się je wykorzystać w przyszłości.*

Teresa Trybulska: *Nie żałuję, ale muszę przyznać, że to ciężka praca.*

Krzysztof Maciejak: *Nie. Po pierwsze - otrzymałem bardzo duże poparcie 3501 osób, z czego 1500 poza powiatem złotoryjskim - od Głogowa po Kowary i Zgorzelec. Liczyłem w sumie na 1000, może 1200 głosów... W wielu miejscach zatrzymywali mnie ludzie z uśmiechem na twarzy, którzy mówili, że będą na mnie głosować, bo mi ufają i jestem osobą wiarygodną. Taka ocena jest nawet ważniejsza niż mandat. To niezapomniane uczucie, zwłaszcza, że nie jest łatwo otrzymać duże poparcie w tak małych ośrodkach jak Złotoryja. Po drugie- mam poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Cieszę się, że z 3501 głosami mogłem wnieść spory wkład tak w sukces PO jak i - a może bardziej - w zmianę drogi, w którą zmierzała Polska. To taka moja osobista cegiełka - wsparta głosami mieszkańców powiatu w budowę lepszego- naszego wspólnego Domu.*

Bartosz Jeziorski: *Była to trafna decyzja, mimo, iż na jej podjęcie miałem mało czasu. Udało mi się pewnej grupie osób przekazać wartości, którymi się kieruję, innych namówiłem do samego głosowania, uświadamiając im, jak bardzo liczy się pojedynczy głos.*

Jak ocenia Pani(Pan) aktywność polityczną złotoryjan? Co ewentualnie powinno się zmienić pod tym względem?

Anna Melska: *Aktywność polityczna złotoryjan dała się zauważyć w czasie przedwyborczym, na co dzień ludzie nie interesują się polityką, choć śledzą poczynania naszych władz i chętnie je komentują. Te wybory pokazały, że złotoryjanie chcą mieć wpływ na swoje dalsze życie i 21 października poszli do lokali wyborczych decydować o przyszłości naszego kraju.*

Frekwencja wyniosła 52,51 % - to znaczy, że do urn poszło więcej wyborców niż dwa lata temu. Warty podkreślenia jest również fakt, iż młodzież w obecnych wyborach udowodniła, że jest aktywna i licznie przystąpiła do głosowania.

Teresa Trybulska: *Pozytywnie, ponieważ odzwierciedliło się to frekwencją w wyborach. Wyborcy powinni interesować się pracą parlamentu i mieć wyrobione zdanie, kto zasługuje na poparcie w kolejnych wyborach.*

Krzysztof Maciejak: *Przez lata byłem dziennikarzem, który recenzował działalność polityków, tak w Złotoryi jak i w Legnicy, Lubinie czy Wrocławiu. Dużo wówczas dostrzegłem. Rok temu, przed wyborami samorządowymi, Zarząd Regionu PO zlecił mi odbudowę struktur partii - nie lubię tego słowa - w naszym powiecie. Mam już swoje spostrzeżenia o prowadzeniu polityki w regionie i chyba kiedyś siądę do napisania książki. Będzie jak sensacyjna powieść...*
Uważam, że złotoryjanie i mieszkańcy powiatu wykazują się właściwą aktywnością polityczną, czego dowodem jest choćby udział w ostatnich wyborach. Gorzej jest, niestety z naszymi włodarzami, którzy na dźwięk słowa „polityka" krzywią się i udają, że się nią brzydzą. Tak było m.in. rok temu podczas wyborów Zarządu Powiatu, gdzie na sali obrad Ryszard Raszkiewicz - z jednej strony wzywał do wzniesienia się ponad polityczne podziały, a w dwie minuty po wyborze go na starostę „meldunek z dobrze wykonanego zadania" otrzymał już lider SLD Jerzy Szmajdziński. Nie zapomnę także mojego spotkania z burmistrzem Żurawskim, któremu w jego gabinecie składałem osobiście, tuż po wygranych wyborach, gratulacje. Wcale nie był zadowolony ze złożonej przez mnie oferty współpracy, jaką w imieniu PO mu wówczas zaproponowałem. Wręcz przeciwnie. Tak jest z wieloma włodarzami w naszym regionie. Udowadniają, że polityka - uprawiana przez partie - jest czymś złym, a ta prowadzona przez nich tzw. „bezpartyjna i bezpolityczna polityka" jest ideałem, zbiorem wszelkich cnót. Trudno o większa obłudę. Zwłaszcza, że nie ma tygodnia, aby koledzy z wyższych struktur PO nie informowali mnie o tym, że ten czy tamten wójt, burmistrz czy starosta - usilnie zabiegają o poparcie Platformy z pominięciem naszych lokalnych struktur. Na dodatek prawie wszyscy z nich popierają partię i proponują istotne wsparcie działań naszych polityków - od Sejmiku przez Sejm po Europarlament. Dlaczego? Bo PO jest „na fali". To wspaniali polityczni aktorzy, ludzie z maskami na różne okazje, w zależności od tego, czy są w Złotoryi, Legnicy, we Wrocławiu czy Warszawie.Natomiast do PO w powiecie przyjmujemy ludzi z własną twarzą.

Co powinno się zmienić? Przede wszystkim nie można mieszkańcom wciąż wpajać, że polityka jest czymś złym. To przecież jedna z demokratycznych form przejawów aktywności społecznej, która jest uznawana we wszystkich cywilizowanych krajach. Wspaniałego wykładu na ten temat mogliśmy wysłuchać w sanktuarium w Krzeszowie, podczas wrześniowej pielgrzymki PO. Marzy mi się także, aby w naszej lokalnej społeczności podnieść poziom kultury politycznej, bo ten, który widzimy na szczytach samorządowej władzy, nie jest do zaakceptowania. Nie możemy czerpać przykładów z Warszawy. Musimy szanować naszych mieszkańców.

Bartosz Jeziorski: *Na złotoryjanach nigdy się jeszcze nie zawiodłem, w każdych wyborach licznie uczestniczą, wykazując, że nie jest im obojętne, kto jest przy władzy. W naszym mieście i gminach powiatu swoje koła mają największe partie polityczne i ich młodzieżówki, w których z różną aktywnością działają nasi mieszkańcy. Co powinno się zmienić? Na pewno większe zaangażowanie w działalność samorządową i kontrola działań lokalnych przedstawicieli. Na sesje Rady Miasta lub Powiatu, które są otwarte dla wszystkich, przychodzi jedna lub dwie osoby, by patrzeć, jak głosują, i nad czym pracują wybrani przez nas wszystkich radni. Szkoda, że wielu mieszkańców po oddaniu głosu nie sprawdza, jak on jest wykorzystywany. Z uśmiechem na ustach obserwowałem też radosną twórczość tudzież frustrację przelewaną markerem na plakatach kandydatów wszystkich opcji, jakie prezentowały się w naszym mieście.*

Wszystkim złotoryjskim kandydatom gratulujemy odwagi i rezultatów. Jak wynika z ich wypowiedzi, nie żałują udziału w kampanii wyborczej i zamierzają nadal aktywnie działać na rzecz naszego regionu - życzymy więc wykorzystania wyborczych doświadczeń, dalszej ofiarnej i bezinteresownej pracy pełnej troski o wspólne dobro, satysfakcji i osobistych sukcesów.

Roman Gorzkowski

Rywalizacja - to lubię

Stanisław Zawadzki jest bardzo oddany swojej pasji. Kolorowy latawiec to godziny klejenia cienkiej bibułki do listewki, zastanawianie się, czy wzniesie się pod chmury, czy prawa fizyki nie zawiodą. Pracochłonne dioramki, czyli scenki wkomponowane w przyrodę z modelami, ludźmi i zwierzętami, robią wrażenie.

Pracownia modelarska znajduje się w ZOKiR na poziomie piwnicy. W zimie jest przyjemnie, ale gdy kaloryfery przestają grzać, grzyb wychodzi na ściany, co i tak nie przeszkadza tworzyć. Obecne czasy pozwalają mieć nadzieję, że grono modelarzy się powiększy, a nasze miasto będzie się szczycić drużyną z dużymi osiągnięciami w Polsce. Z naszej strony możemy tylko dopingować, życząc dalszych sukcesów.

Michał Lakwa i Jana Kałuża: Od ilu lat istnieje sekcja modelarska ?

Stanisław Zawadzki: Tego to i ja nawet nie wiem, natomiast uczniem "modelarni" zostałem w roku 1972, kiedy ta podlegała jeszcze Lidze Obrony Kraju. Miałem wtedy 11 lat. Zajęcia z nami prowadził pan Stanisław Koprak.

M. L & J. K.: Co sprawiło, że został Pan jej podopiecznym ?

S. Z: W niczym innym nie potrafiłem się odnaleźć, tylko w modelarstwie. Najbardziej zainteresowały mnie modele latające, które wyglądają podczas lotu niczym ptaki na niebie.

M. L. & J. K: Wielu sądzi, że modelarstwo to zabawa. A czym jest to zajęcie dla Pana?

S. Z: Zabawa? Zdecydowanie nie! Zabawa z czasem się nudzi, a to, co robię, trwa już ponad ćwierć wieku. Raczej rywalizacja.....To lubię!

M. L. & J. K: Mówi Pan o tym, jak o pasji?

S.Z: W pewnym sensie tak, ale to również zawód, w który musiałem włożyć dużo czasu, energii i pracy kończąc wiele kursów, aby zostać dobrym, czyli kompetentnym instruktorem. Modelarstwo dla mnie to i praca i hobby, które wciągnęły mnie dotychczas na 35 lat. Nie raz chciałem porzucić modelarstwo, wyjeżdżałem nawet na Zachód, jednak zawsze po pewnym czasie mi przechodziło i powracałem do klejenia.

M. L. & J. K: Na czym polegają Pana obowiązki w sekcji?

S. Z: Jako że zdobyłem już III klasy instruktora modelarstwa lotniczego, przede wszystkim przekazuję swoją wiedzę młodym. Mam też licencję sędziego II klasy F2B w modelarstwie lotniczym i dlatego uczestniczę w zawodach modelarskich, oceniając pracę innych. Sędziowałem już podczas zawodów w Nowej Rudzie, Włocławku, Chojnowie, Lubinie. Praca sędziego polega na ocenie modelu i dołączonej do niego dokumentacji. Patrzy się na każdy detal, kolorystykę oraz wiarygodność modelu. Wiadomo, że inaczej ocenia się młodzika a inaczej seniora. Wymagania konkursowe rosną wraz z wiekiem zawodnika.

M. L. & J. K: Jak pracuje się z młodzieżą?

S. Z: Modelarz, aby stworzyć mini replikę, musi być cierpliwy, dokładny, spokojny. Taka też młodzież przychodzi do modelarni. Wykonujemy wierne kopie pojazdów kołowych, modele latające (helikoptery samoloty), modele pływające, tworzymy dioramy (np. .model w tle zawarty w ramce), figurki, popiersia. Eksponat, który przygotowujemy na wystawę, musi być doskonały, wiernie odtworzony wg schematu, wzbogacony o układy trawione (błyszczące elementy metalowe), kalkomanię i elementy malowane własnoręcznie. Tak stworzone dzieło daje obraz realistyczny. Najtrudniejsze do wykonania są modele okrętów, ja lubię mini samoloty. Przedmiot w skali 1:35 ma uwzględniony. Jako materiał budulcowy używamy balsy, plastiku, tektury, bibułki. Korzystamy z takich czasopism jak: „Mini Replika", „Modelarz", „Sport Modelarski". Nasze osiągnięcia są często opisywane w czasopismach.

M. L & J. K: A jak na tę pasję reaguje rodzina ?

S. Z.: Rodzina podchodzi do tego z dystansem, ale jest zadowolona z moich osiągnięć, szczególnie żona. Kiedyś w sklejanie nawet starałem się wciągnąć syna i rzeczywiście przez pewien okres chodził z przymusu na zajęcia. Mówię z przymusu, ponieważ wtedy żona pełniła popołudniowe dyżury w szpitalu i ja zajmowałem się Krzysiem. W związku z tym brałem go do modelarni. Nie zaraziłem go pasją. Co prawda zdobył nawet dwa medale, jednakże modelarstwo mu nie odpowiadało i definitywnie je porzucił.

M. L & J. K. Chęci i motywacja muszą być nieodłącznymi cechami dobrego modelarza.

S. Z: Tak, chęci i zapał powinny być naszym punktem wyjścia, bo np. co z tego, że ktoś kupi drogi model, skoro w jego wykonanie nie włoży ani krzty serca ? Poza tym nie da się na siłę zrobić z kogoś modelarza, jeśli ten nie będzie czuł, iż to jego pasja, zamiłowanie.

M. L & J. K: Czego nie udało się Panu zrobić bądź osiągnąć?

S. Z: W sumie to, co chciałem, to zrealizowałem (śmiech). Nie, tak naprawdę chciałbym zbudować modelarnię z prawdziwego zdarzenia, nowoczesną. Taką, aby miała duszę.

M. L & J. K: Jak miałaby ona wyglądać?

S. Z: Powinna być podzielona, to znaczy, że dla każdej kategorii wiekowej modelarzy winna być osobna sala a w niej nowoczesny sprzęt, aby młodzi ludzie lepiej się rozwijali w tym kierunku i trwali w swojej pasji.

M. L & J. K: Największe osiągnięcia sekcji modelarskiej to…

S. Z: Wymienię przede wszystkim tegoroczne, bo od pisania wszystkich, ręka by ci odpadła(śmiech).W tym roku możemy się pochwalić trzecim miejscem zespołowym na Ogólnopolskim Konkursie Modeli Redukcyjnych w Świdnicy, trzema złotymi, srebrnym, czterema brązowymi medalami na Międzynarodowym Konkursie Modeli Kartonowych, Plastikowych i Redukcyjnych w Oleśnicy. Warto jeszcze wspomnieć Sebastiana Kozdrasia, który miał dobre wyniki. Kilku moich podopiecznych (Piotr Lesik , Marcin Thiel, Kacper Stępiński) brało też udział w programie TV „Talent za Talent". Przed widzami całej Polski mogliśmy pochwalić się swoimi modelami. Kronika, którą prowadzimy, jest historią naszych osiągnięć. Szkoda tylko, że tę pasję przerywają ważne decyzje życiowe(studia, wyjazdy za granicę...).

M. L: Dziękujemy za rozmowę.

S. Z: I ja dziękuję.

Michał Lakwa, Jana Kałuża

X Rajd Jadwiżański
Złotoryja-Rokitnica 2007

Nasze wędrówki ze świętą Jadwigą

JADWIGA - KSIĘŻNA I ŚWIĘTA

Kiedy 15 lat temu zbierałem materiał do opracowania pod takim tytułem, wydawało mi się, iż popełniam rodzaj świętokradztwa, podejmując aspekt świętości Jadwigi. Z błędu wyprowadził mnie metropolita wrocławski, Bolesław Kominek, który w roku 1967 stwierdził: *„ Przy samym Moście Tumskim we Wrocławiu, wiodącym na Wyspę Piastowską stoi kuta w kamieniu Jadwiga. Stoi na moście łączącym wschodni i zachodni brzeg Odry. Wszystkim przechodniom każe na siebie spoglądać i każe im pomyśleć, że wszyscy są braćmi, na którymkolwiek brzegu mieszkają."* Do tej samej idei działalności Jadwigi nawiązał też papież Jan Paweł II, który w trakcie drugiej pielgrzymki do Ojczyzny stwierdził (21.06.1983): /.../ *„ W dziejach Polski i w dziejach Europy stoi Jadwiga Śląska jakby postać graniczna, która łączy ze sobą dwa narody: naród niemiecki i naród polski. Łączy na przestrzeni wielu wieków historii, która była trudna i bolesna. Święta Jadwiga wśród wszystkich dziejowych doświadczeń pozostaje przez siedem już stuleci orędowniczką wzajemnego zrozumienia i pojednania."* /.../ Jest więc wznoszącą mosty między narodami. Obydwa cytaty dowodnie świadczą o tym, że świętym nie staje się ktoś z urodzenia, lecz działając wśród innych staje się nim dopiero wskutek swojej działalności. Zwrócił już na to uwagę św. Franciszek Salezy mówiąc: *„Aby zostać świętym, wystarczy mało teorii, ale potrzeba dużo praktyki."* Sądzę, że tym wymogom wspaniale sprostała św. Jadwiga, która nie tylko się modliła. Dlatego TMZZ tak wiele czasu w swojej działalności poświęca tej wielkiej, i wciąż niedocenianej postaci. Nasze działania to jakby „regeneracja" świętości patronki Śląska. To odczytanie cnót teologicznych, którym hołdowała jakby na nowo i traktowanie ich współcześnie jako powinności obywatelskich. Stale podkreśla to także ks. prof. Antoni Kiełbasa, największy autorytet w zakresie problematyki jadwiżańskiej.

I. RAJDY JADWIŻAŃSKIE

Z trzech inicjatyw turystycznych TMZZ związanych z postacią św. Jadwigi najstarszy rodowód mają rajdy jadwiżańskie - dotyczy to zarówno historii współczesnej, jak i tej bardzo odległej. O tej najstarszej, średniowiecznej ścieżce, wspominają nieliczne dokumenty; ślady materialne nie zachowały się żadne. Wokół idei odrodzenia ścieżki zaczął się bardzo konkretnie rozmyślać natrafiając w trakcie zbierania materiałów do opracowania o św. Jadwidze na wzmiankę rokitnickiego pastora, że ścieżka takowa istniała. Była to jedyna informacja i nie zawierała ona żadnych konkretów, dotyczących jej przebiegu lub wyglądu. Zdani byliśmy na snucie zdroworozsądkowych przypuszczeń, które naprowadziły na myśl, że w średniowieczu (pocz. XIII w.) księżna Jadwiga przebywając trasę z zamku w Rokitnicy do kopaczy na Kopaczu i dalej do osadników na Górze Mikołaja, nie mogła w owym czasie korzystać z innej „drogi" jak tylko zbliżonej i niejako „przytulonej" do Kaczawy. Taki był punkt wyjścia do ustalania trasy, którą na przełomie roku 1997/ 98 podjąłem z KM TMZZ przy SP nr 3. Aktualny stan zabudowy oraz przebieg szlaków komunikacyjnych pozwolił na wytyczenie trasy najmniej współcześnie kolidującej z wielkim ruchem i zachowującej zarazem pierwotne walory. Oficjalnie ścieżkę otwarto 14 października 2001 roku. Było to wspólne duże społeczne zadanie, które TMZZ wykonało przy pomocy mniej lub bardziej „oficjalnych" sojuszników: UM (burmistrz Jerzy Kluz), UG (wójt Maria Leśna) oraz PGP Bazalt (prezes Tadeusz Paliszkiewicz). Trasa ścieżki wynosi 6 km.

Pierwszy rajd miał charakter rowerowy i odbył się w roku 1998 - wzięło w nim udział 25 osób. Najliczniejsze były dwa rajdy w roku 2004(po ok.700 osób), ponieważ na trasie posadzono wówczas (kwiecień), a następnie ochrzczono 28 drzewek przyjaźni i pojednania. Była to nie tylko zabawa i działanie ekologiczne. W tym przedsięwzięciu uczestniczyła młodzież nie tylko polska ze Złotoryi i Trzebnicy, lecz także czeska (Mimoń) oraz niemiecka z pierwszej ojczyzny św. Jadwigi - z Bawarii (Dorfen).Oprócz tego swój wkład wniosła również młodzież ZSZ, DGS oraz LO. Z wielką satysfakcją wspominamy do dziś udział w sadzeniu drzewek, ks. prof. Antoniego Kiełbasy z Trzebnicy. Tenże duchowny nie tylko przeszedł na piechotę całą trasę, lecz posadził również swoje drzewko - jest to buk z Trzebnicy (drzewko nr 7 przy kamieniu II); jak dotąd jest to jedyny duchowny, który tego dokonał.

6 października 2007 odbył się już X RJ. Miał on oprawę, jakiej dotąd nie posiadały poprzednie. Zawdzięczamy to przede wszystkim inicjatywie i pomysłowości, jaką wykazała Ludmiła Sobota. Zaoferowała swoją pomoc i zgodnie współpracując z głównym organizatorem, Robertem Kiełbasą, zrealizowała zamierzenie, w którym umiejętnie połączono teorię z praktyką i kontemplację z zabawą. W rajdach uczestniczą również dzieci niekatolickie.

O tym, że złotoryjska ścieżka stanowi niemałą wartość i atrakcję, i jest już rozpoznawana przynajmniej na całym Dolnym Śląsku, mogą świadczyć coraz liczniejsze wycieczki oraz to, że na naszej ścieżce powzorowały się inne ośrodki organizując podobne szlaki: Wleń w październiku 2006, Trzebnica w październiku 2007.

II. SZLAK ŹRÓDLANY

U wielu mieszkańców Ziemi Złotoryjskiej zdziwienie wywoła informacja, że znajdują się na tym terenie trzy źródełka, którym patronuje św. Jadwiga. Jedno znajduje się w Rokitnicy u podnóża Wzgórza Zamkowego - jest ono bardzo skromne i praktycznie niemal niezauważalne. Wątpliwą ozdobą jest dwujęzyczny napis, naniesiony przez uczestników I rajdu „Szlakiem źródlanym"; wraz z moim wnukiem stale ten napis odnawiamy. Chyba dobry czas tego źródełka jeszcze nie nadszedł; może około 2011 roku?

Drugie znajduje się w Rzymówce i zlokalizowane jest również u podnóża - tym razem wszesnośredniowiecznego grodziska. Dzięki obchodom 1000 - lecia Rzymówki źródełko otrzymało nową obudowę z efektowną kutą kratą oraz piaskowcową tablicę z dwujęzycznym napisem.

O ile te dwa źródełka w literaturze niemieckiej figurują jako „źródełka św. Jadwigi", o tyle trzecie - w Jerzmanicach Zdroju - wymieniane jest jako źródełko skalne (Felsenquelle). Ma to związek z tym, że kiedy w XIX w. źródełko obudowano efektownym portalem z kolumnami, Ziemia Złotoryjska, a także Jerzmanice Zdrój, była wyznaniowo protestancka i ewangelicy nie widzieli żadnego sensu w tym, aby czcić źródełko imieniem katolickiej świętej (aczkolwiek wielu protestantów wysoko ceniło działalność Jadwigi). Źródełko jerzmanickie znajduje się w bezpośredniej bliskości ciekawego zabytku przyrodniczego - Kruczych Skał. Wspominając nieco tylko legendę przypomnę, że dwa słupy kamienne przedstawiać mają zaklętych w skałę dwóch niedobrych braci rycerzy - Kuno i Veita. Widać stracili oni swoją moc, gdyż nie obronili źródełka skalnego, które okradziono nie tylko z kolumn, lecz także z wielu elementów wspierających portal (zresztą bracia też byli rabusiami). Mając „różne" doświadczenia w zakresie współpracy z ochroną zabytków uznaliśmy z Józefem Banaszkiem, że konsultacja z fachowcami wpędzi nas w niepotrzebny stres, Urząd Gminy w ogromne koszty, dyskusje będą się przeciągały a resztki obiektu rozpadną się ostatecznie. Dlatego J. Banaszek bardzo precyzyjnie (co do milimetra) zwymiarował wszystkie brakujące elementy, zakład „Kamieniarz" z Czapli (prezes Alfred Marian Sroka) dał bezpłatnie materiały i wykonawcę, Zakład Poprawczy z Jerzmanic Zdroju (dyr. Jan Wolski) dał pracowników i w ten sposób, nieformalnie ale wiernie i skutecznie, uratowano zabytek. Od tego czasu minęło 10 lat i chciałoby się prosić turystów (a także mieszkańców), ażeby nie traktowali go jako ...WC.

Mając takie bogactwo źródełek uznałem, że należy je wykorzystać również w aspekcie dydaktycznej działalności wokół postaci św. Jadwigi. Po konsultacjach uznaliśmy, że celowe będzie wytyczenie turystycznego szlaku między źródełkami - przyjął on nazwę „Szlaku źródlanego". Jego trasa biegnie od Jerzmanic Zdroju przez Złotoryję, Kopacz, Rokitnicę, Wysocko do Rzymówki i wynosi ok. 16 km. Jest to więc odcinek zbyt długi, ażeby pokonywać go piechotą. Przyjęto zatem, że będą to rajdy rowerowe. Pierwszy taki rajd odbył się 21 kwietnia 2006 roku - wszystkie następne będą organizowane w terminie jak najbardziej zbliżonym do tej daty.

III. SZLAK CZTERECH ŚWIĄTYŃ JADWIŻAŃSKICH

Materialne ślady nie tylko pobytu, lecz także działalności Jadwigi na Ziemi Złotoryjskiej są liczne. Prawdopodobnie nawet najbardziej wierzący i praktykujący mieszkańcy Ziemi Złotoryjskiej zdziwieni są istnieniem trzech źródełek, a pewnie zaskoczy ich także i ta informacja, iż na tej ziemi są cztery kościoły, którym patronuje św. Jadwiga: w Złotoryi, w Wysocku, w Prusicach i w Sokołowcu. Uznaliśmy, że to bogactwo duchowe, a zarazem materialne oraz piękny krajobraz tej ziemi należy z pożytkiem dla umysłu, serca i zdrowia wykorzystać. Stąd pomysł i realizacja kolejnego rajdu rowerowego.

Pierwszy rajd rowerowy na tej trasie odbył się 18 czerwca 2007 roku. Uznaliśmy słuszność argumentu opiekunów grup, że trasa rajdu (ok. 30 km) może się okazać zbyt uciążliwa dla niektórych osób. Stąd też w podanym wyżej terminie rajdowicze przejechali trasę: Złotoryja - Prusice - Wysocko. Na drugą część rajdu umówiono się we wrześniu. Zamierzenie zrealizowano 14 września 2007 roku, kiedy to uczestnicy rajdu zmierzyli się z odcinkiem trasy: Złotoryja - Sokołowiec. Sokołowiec był nad wyraz gościnny.

Pomysł takiego rajdu gorąco poparli proboszczowie i właśnie ten rajd odbywa się z ich bardzo istotnym udziałem. Mogą tu wystąpić w podwójnej roli: jako duchowni opiekunowie obiektów inicjują modlitwy lub śpiewy, a jako materialni gospodarze świątyń mają możliwość zaprezentowania ich. A mają o czym mówić, gdyż wszystkie cztery świątynie są obiektami zabytkowymi o wielowiekowej przeszłości.

UCZMY SIĘ NASZEJ ZIEMI

Wszystkie nasze inicjatywy wokół patronki Śląska nie są celem samym w sobie. Ich zasadniczym przesłaniem jest przypomnienie i ugruntowanie pewnych wartości, którym wierna była Jadwiga - i jako księżna, i jako uznawana już za świętą, bardzo przypominającą mi Matkę Teresę. Służą także otwarciu się na piękno krajobrazu Ziemi Złotoryjskiej, ukazaniu piękna naszych świątyń. Dla wrażliwych i głęboko wierzących to szukanie i podążanie śladami patronki Śląska. Nie prowadzimy żadnej tabeli rekordów - jeśli ktoś chce, może indywidualnie lub grupowo wykorzystać kontemplacyjny charakter tych spacerów z Jadwigą.

Oznakowania na trasach oraz tablice informacyjne to wynik naszych przemyśleń i działań - nie narzuciła nam ich żadna instytucja. Chcielibyśmy zatem, żeby ten wspólny dorobek był - jeśli już nie szanowany, to przynajmniej nie niszczony. Chętnie i zbyt łatwo niektórzy sięgają do hasła: Polak = katolik. Zastanówmy się więc, w naszym w większości katolickim społeczeństwie, kto ma właściwsze i wyższe kwalifikacje etyczne i moralne: protestanci, którzy dopuścili do zniszczenia pierwotnej ścieżki św. Jadwigi, czy my, katolicy, niszcząc z premedytacją elementy ścieżki naszej katolickiej świętej. Polak = katolik brzmi w niektórych sytuacjach słusznie i dumnie, lecz akurat w tym jest - szydercze, fałszywe i zakłamane. To z kolei brzmi obcesowo, a nawet brutalnie, lecz sam jako wychowawca młodzieży czuję się współwinny, zażenowany i zawstydzony tym, co w formie prymitywnego wandalizmu zrobiono na Wzgórzu Zamkowym w Rokitnicy. Ale są przecież jeszcze instytucje, które zajmują się wychowaniem, a przynajmniej uważają ,iż to czynią. My wszyscy ponieśliśmy swoistą porażkę. Nie znaczy to jednak, iż mamy się poddać; spróbujmy wspólnie stworzyć front przeciw przejawom pospolitego braku wychowania.

XX-lecie TMZZ - podsumowanie

W piątek 21 września w auli złotoryjskiego Liceum Ogólnokształcącego w Złotoryi odbyła się uroczystość z okazji 20-lecia powstania i działalności Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Na uroczystość przybyli przedstawiciele władz wojewódzkich, powiatowych oraz miasta i gminy: Roman Kulczycki - wicewojewoda dolnośląski, Norbert Wojnarowski - radny Sejmiku Wojewódzkiego Dolnośląskiego, wicestarosta Józef Sudoł, burmistrz Złotoryi Ireneusz Żurawski, wójt gminy Złotoryja Maria Leśna. Przybyli także przedstawiciele zaprzyjaźnionych towarzystw miłośniczych, w tym m.in. Adam Pleśnar z Dolnośląskiego Towarzystwa Społeczno - Kulturalnego.

Wśród gości byli również dyrektorzy i przedstawiciele złotoryjskich szkół i organizacji, a także członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. Prezes Aleksander Borys złożył sprawozdanie z 20 lat społecznej pracy TMZZ na rzecz Ziemi Złotoryjskiej. Pan prezes przypomniał wszystkim m.in. to, jak wyglądało pierwsze spotkanie o charakterze organizacyjno - informacyjnym, które odbyło się w sali posiedzeń Miejskiej Rady Narodowej w dniu 10.09.1987 roku. Na spotkanie przyszło aż 51 osób, z czego 2/3 stanowili nauczyciele. Efektem spotkania było ustalenie, że taka organizacja (stowarzyszenie) będzie w Złotoryi potrzebna. Umówiono się na kolejne za tydzień, w tym samym miejscu, w celu wybrania władz stowarzyszenia. Zaproponowano, aby w planowanej działalności nie ograniczyć się do samej Złotoryi, a działalnością objąć Ziemię Złotoryjską rozumianą jako były powiat złotoryjski z Chojnowem, Wojcieszowem i Świerzawą. Ostatecznie po długich dyskusjach przyjęto nazwę Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Sam pomysł założenia takiego stowarzyszenia pochodzi od śp. Sławiana Trockiego i Krzysztofa Zamojskiego, którzy przekonali i namówili Alfreda Michlera na zorganizowanie towarzystwa. Pierwszym prezesem został właśnie Alfred Michler. Pierwszy zarząd tworzyli: R. Gorzkowski (wiceprezes), M. Stanaszek (skarbnik), K. Napiwocka (sekretarz), S. Trocki i M. Leszczyński (członkowie). Kolejnymi szefami byli Roman Gorzowski i Aleksander Borys, który tę funkcję pełni w dalszym ciągu.

Prawie 15 lat trwała tułaczka stowarzyszenia - aż 6 razy TMZZ musiało zmieniać swoją siedzibę i dopiero od 13 października 2001 r. ma swoje własne lokum przy ul. Szkolnej 1 w Domu Nauczyciela Bacalarus. Tam, dzięki wsparciu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej oraz UM, UG, PGP "Bazalt", spółce "Vitbis" i firmie Stonespol, powstał Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej, który - działając w strukturze TMZZ - faktycznie jest komórką jego merytorycznej działalności. Ośrodkiem kieruje Rada Programowa, której przewodniczący mi dotąd byli: Zenon Bernacki, Alfred Michler, Anna Chrzanowska, Józef Banaszek, Roman Gorzkowski (obecnie). Tu ogniskuje się główna i fachowa działalność stowarzyszenia, posiadającego status organizacji pożytku publicznego.

Spotkanie w Liceum Ogólnokształcącym nie obyło się bez podniosłych momentów. Za efektywną działalność społeczną w strukturach towarzystw miłośniczych, a przede wszystkim w Towarzystwie Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, z okazji 20-lecia stowarzyszenia, prezydent RP Lech Kaczyński przyznał na wniosek Zarządu TMZZ odznaczenia państwowe dwóm działaczom TMZZ: Romanowi Gorzkowskiemu - Srebrny Krzyż Zasługi (po raz drugi) i Alfredowi Michlerowi - Złoty Krzyż Zasługi (po raz drugi). Z kolei prezes TMZZ Aleksander Borys wręczył okolicznościowe podziękowania władzom samorządowym, instytucjom i organizatorom oraz sponsorom.

W części artystycznej uroczystości wystąpiły dziewczęta z Gimnazjum nr 2 Olga Mazur i Malwina Barczycka oraz Złotoryjanka ucząca się w szkole muzycznej w Bolesławcu Magdalena Kałkus. Występ bardzo się podobał i wzbudził ogromny aplauz publiczności.

Nie mogło zabraknąć również gratulacji i podziękowań skierowanych pod adresem stowarzyszenia; listy gratulacyjne złożyli m.in. Roman Kulczycki, Norbert Wojnarowski, Józef Sudoł, Ireneusz Żurawski, Maria Leśna, a także dyrektorzy i przedstawiciele złotoryjskich szkół i organizacji. Pozwolę sobie zacytować piękne życzenia, które w imieniu młodzieży, nauczycieli i wychowawców Liceum Ogólnokształcącego na ręce prezesa Aleksandra Borysa złożyła pani dyrektor Barbara Mendocha:

„Dziś, gdy chcemy mówić o krzewieniu patriotyzmu, najważniejszą kwestią jest jego uzasadnienie. Żyjemy w czasach postępującej liberalizacji i globalizacji stosunków między ludźmi i narodami, co powoduje dystans i sceptycyzm. Czy patriotyzm we współczesnym świecie to przeżytek, czy wartość kłopotliwa? (...)

Dzięki za to, że przez dwadzieścia lat swojej działalności propagowaliście Państwo etos miłości do ziemi ojczystej, do małej, złotoryjskiej ojczyzny, że kolejne pokolenia młodych ludzi wzrastały w poczuciu tożsamości i ukochania miejsc najbliższych".

Ważnym elementem towarzyszącym obchodom XX-lecia Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej jest wystawa, która znajduje się w holu Ośrodka Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej. Zarząd TMZZ do zrealizowania wystawy zobowiązał pana Józefa Banaszka, który wystawami zajmuje się od początku istnienia stowarzyszenia. Nie można jednak powiedzieć, że pan Banaszek jest jedyną osobą, która pracuje przy powstawaniu wystaw, pomaga mu wiele osób, jednak ostateczne zdanie należy właśnie do niego.

Na wystawie ze względu na ograniczoną ilość miejsca, nie udało się - niestety - wyeksponować

wszystkich elementów dokumentujących działalność TMZZ. Wystawa została podzielona na dwie części. Jedną z nich są ekspozycje znajdujące się w gablotach; jest to dorobek Izby Złotoryjskiej, Izby Kresowej, Izby Oświaty oraz biblioteki, a także wystawka kartek pocztowych i książek wydanych przez Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej. W kolejnych gablotach znajdują się m.in. materiały dotyczące miesięcznika *Echo Złotoryi*, sesji naukowej na grodzisku w Rzymówce, ekspozycje znaczków pocztowych poświęconych Janowi Pawłowi II, czy jubileuszowej wystawy Związku Nauczycielstwa Polskiego. Drugą część wystawy tworzą zdjęcia, znajdujące się na ścianach holu, upamiętniające takie wydarzenia, jak: wystawy twórców ziemi złotoryjskiej (m.in. Zygmunta Luksandra, Lidii Malickiej czy Jadwigi Sucheckiej - Dyląg), otwarcie ścieżki św. Jadwigi, konkurs wiedzy o Kresach Wschodnich czy odsłonięcie pomnika Valentina Trozendorfa.

Wystawę będzie można oglądać w siedzibie TMZZ do końca października.

Złotoryja mówi po łacinie

Już dawno wygasła w naszym mieście powszechniejsza znajomość języka łacińskiego. Pomijając czasy średniowiecza, łacinę po raz ostatni starał się z całych sił popularyzować rektor Valentin Trozendorf w swoim słynnym w całej Europie humanistycznym gimnazjum. Na nagrobku Trozendorfa umieszczono znamienny napis: *Zaprawdę rozpowszechnił on tak szeroko mowę Rzymian, iż mowa niemiecka stała się w Złotoryi godną nagany. Gdybyś słyszał tam chłopców i dziewczęta rozmawiające po łacinie, myślałbyś, że to tu jest Latium* (czyli serce starożytnego Rzymu - RG). Tak było w XVI wieku. Jeszcze w latach 70. ubiegłego stulecia łacinę wykładano we wszystkich chyba klasach Liceum Ogólnokształcącego. Dziś nie ma już mszy po łacinie, kilka lat temu zniknęło jej regularne nauczanie w LO. Pozostało jedynie kółko języka łacińskiego w tej szkole, skupiające garstkę uczniów, którzy spodziewają się obcować z łaciną na studiach. Na szczęście w kilku miejscach Złotoryi zachowały się łacińskie inskrypcje. Spotkanie z nimi nie tylko pomaga zrozumieć dawne czasy, ale może przynieść nam cenne życiowe wskazówki.

Zasłużonym nauczycielom

Najstarszy ze złotoryjskich napisów łacińskich znajduje się na południowej zewnętrznej elewacji kościoła Mariackiego, po lewej stronie zejścia do tzw. starej kotłowni. Upamiętnia Georga Helmricha, wybitnego burmistrza i nauczyciela, zmarłego we wrześniu 1536 r.

…CONSULO PATRI PATRIAE STUDIORVM RECTORVM INSTAVRATORI ET CONSERVATORI PIO - burmistrzowi i ojcu miasta, pobożnemu odnowicielowi, obrońcy prawych nauk.

Wewnątrz kościoła z wielu stron pozdrawiają nas łacińskie zdania. W najważniejszym miejscu świątyni, czyli prezbiterium, znajdują się dwa wspaniałe symboliczne nagrobki, zwane cenotafami. Dotyczą one Valentina Trozendorfa i Hieronima Wildenberga, dzięki którym tutejsze szkoły wspięły się na wyżyny w epoce renesansu. Symboliczne dlatego,że pierwszy spoczął w Legnicy a drugi w Toruniu.

…VIRO INTEGERRIMO ET INGENIORVM FORMATORI FIDELI: ET FELICISS: RECTORI ET AMPLIFICATORI SCHOLAE GOLTBERGEN: LAVDATISS: ET LABORVM PATIENTISS: VERITATIS DIVINAE CONTRA FANATICOS DEFENSORI ET PROPVGNATORI ACERRIMO… CHRISTE, SCHOLAE SEMPER PIA SEMINA SERVES, TVTA SIT AVXILIO NOSTRA SAREPTA TVO - mężowi najuczciwszemu i najwierniejszemu, najbardziej rzetelnemu i najpłodniejszemu wychowawcy, rektorowi, oraz temu, który powiększył szkołę złotoryjską, najgodniejszemu pochwały i wytrwałemu w trudach, bardzo gorliwemu bojownikowi i obrońcy prawdy bożej przeciw fanatykom… Zachowaj zawsze, Chryste, święte ziarna tej szkoły, niech nasza wspólnota będzie bezpieczna z Twoją pomocą. Tak napisali uczniowie Trozendorfa o swoim wychowawcy i szkole.

…TRADIDIT INGENVAS HIC WILDENBERG ARTES EDIDIT ET SCRIPTIS OPTIMAQVEQ SVIS GOLDBERGAEQ SCHOLA FECIT COLMAEQ CELEBRE NVNC EST CAELESTIS PARS QVOTACVNQ SCHOLAE AD QVAM NOS ETIAM DOCTOR SVMMVSQ MAGISTER QVAM PRIMVM MISERO CHRISTVS AB ORBE VOCET - Wildenberg wykładał szlachetne nauki, w swych pismach wydawał także wszystko, co najlepsze. I w Złotoryi i w Chełmie stworzył sławną szkołę. Teraz jest cząstką niebieskiej szkoły, do której nas także wkrótce powoła z tego biednego świata Chrystus, nauczyciel i najwyższy mistrz.

Gwiazda przewodnia

W północnym ramieniu nawy poprzecznej kościoła w 1609 r. burmistrz Johannes Feige ufundował najładniejszą emporę(balkon) świątyni. Artysta umieścił na niej nie tylko dziewięć scen biblijnych, ale także motto życiowe fundatora:

VERA FIDES PIETAS PATIENTIA SPES SIBI RECTI CONSCIA MENS CANDOR PAX CYNOSVRA MEA EST - prawdziwa wiara, miłość, cierpliwość, nadzieja, umysł świadomy swojej prawości, uczciwość, pokój są moją gwiazdą przewodnią.

Tej samej osobie zawdzięczamy także Fontannę Delfina, stojącą w Rynku. W jej górnej części widnieje napis: *IN IOVA SE FIGENS - opierający się na Bogu.*

Przez trudy do gwiazd

Burmistrz Christoph Steinberg, zmarły w 1682 r., ma swój nagrobek w południowej nawie bocznej kościoła NNMP. Pod jego popiersiem czytamy:

AD ASTRA SUPER ASPERA - przez trudy do gwiazd(czyli do sukcesów ale także do nieśmiertelności). U dołu natomiast zapisano:

O VITAE VANITAS: ORIMUR ET MORIMUR, MORS OMNES AEQUAT. VIRTUTE DISTINGUIMUR, SEPULTI HAC SOLA INSEPULTI, FAMA EST ALTERA VITAE VITA, MORTIS MORS - O nicości życia! Rodzimy się i umieramy. Śmierć czyni wszystkich równymi. Różnimy się cnotą, taką samą zmarli i żyjący. Sława jest drugim życiem życia, śmiercią śmierci.

Nasz dom i nasze państwo

W korytarzu kamienicy nr 6 w Rynku wmurowano kamienną tablicę z napisem, pochodzącym zapewne z XVI wieku:

UT SIT TRANQUILLUS STATUS ET RESPUBLICA SALVA, ET SUA CUM REBUS TUTA CUIQUE DOMUS AC IN QUAQUE DOMO FELICITER OMNIA CEDANT HAEC SUNT AETERNI MUNERA MAGNA DEI. UNICUS AD COELUM NOBIS EST IANUA CHRISTUS CLAVIS EAM RESERANS EST ANIMOSA FIDES. HANC IGITUR CLAVEM QUI PERDITIS OMNIA PERDIT ET COELI CLAUSAS STAT MISER ANTE FORES - To, że dobry stan jest zachowany i Rzeczpospolita uratowana, i każdy z wszystkimi rzeczami i jego domem, a nadto, że w tym domu wszystko szczęśliwie się dzieje, to są wielkie dary wiecznego Boga. Jedyny Chrystus jest naszymi drzwiami do nieba, kluczem do nich jest silna wiara. Wszystko traci, kto zgubi ten klucz i stoi biedny przed zamkniętymi bramami nieba.

Latina rediviva!

Łacina ponownie w użyciu! Dziewięć lat temu, dzięki staraniom Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej, ujrzała na trwałe światło dzienne studnia w kościele Mariackim. Na jej balustradzie pojawiła się właśnie łacińska inskrypcja, aby oświadczyć o tym, iż nie rezygnujemy z posługiwania się tym językiem, choćby tak symbolicznie:

PUTEUS MEDIO AEVO EFFOSSUS RETECTUS EST A. D. MCMXCVIII. PLUTEUM FACTUM EST A. D. MCMXCIX - studnia, wydrążona w średniowieczu, została odtworzona w 1998 r. Balustrada została wykonana w 1999 r.

Zdarzyło się w październiku

1320 - książę legnicki Bolesław III Rozrzutny uwolnił mieszczan złotoryjskich od cła w Rokitnicy; ten sam książę wspomina w dokumencie o szkodach na terenie jednego z folwarków, spowodowanych górnictwem złota

1330 - książę legnicki Bolesław III Rozrzutny potwierdził opatowi cystersów z Lubiąża i jego następcom posiadanie tzw. Kamiennego Młyna koło Złotoryi

1354 - biskup wrocławski Przecław stwierdził w dokumencie, że sprzedał za 500 grzywien Janowi ze Złotoryi folwark w Kębłowie w dystrykcie wrocławskim

1418 - książę legnicki Ludwik II nadał miastu przywilej posiadania sądu dziedzicznego, składu win oraz straganów piekarniczych i mięsnych

1477 - książę legnicki Fryderyk I wydał zakaz sprowadzania i sprzedawania w mieście sukna w takich kolorach, jakie tutaj wyrabiano

1501 - burmistrz i rada miasta stwierdziła, że Georg Feige odstąpił jednemu z mieszczan posiadłość na Wilczej Górze

1507 - jeden z mieszkańców Kondratowa sprzedał joannitom w Złotoryi pół grzywny czynszu

1553 - początek wielkiej zarazy cholery i tyfusu; według tradycji przetrwa ją tylko siedmiu mieszczan

1594 - odnotowano słabe trzęsienie ziemi w mieście

1621 - przypuszczalny początek działalności jedynej w historii miasta mennicy (istniała do 1623)

1622, 1629 - przez miasto przechodzą wojska niszcząc i plądrując (wojna trzydziestoletnia)

1675 - zmarł ostatni Piast legnicki książę Jerzy Wilhelm - ten fakt odnotowano na nagrobku złotoryjskiego burmistrza Christopha Steinberga w kościele NNMP

1676 - wyleciała w powietrze prochownia na Górze Mikołaja

1745 - przybyła do miasta armia pruska pod dowództwem księcia Leopolda

1765 - król Fryderyk Wielki ogłosił, że w mieście mogą rocznie odbywać się dwa targi wełniane

1898 - osiem firm z miasta i okolic zawarło umowę w/s budowy linii telefonicznej(oddana do użytku w 1900)

1905 - w okolicach Szkoły Podstawowej nr 1 natknięto się na resztki fundamentów komturii (siedziby) joannitów

1913 - uruchomiono miejską elektrownię

1918 - powstał Komitet Mieszczański, zajmujący się porządkiem i zaopatrzeniem ludności po zakończeniu I wojny

1919 - w niemieckim lazarecie zmarł żołnierz ze Złotoryi, ostatnia tutejsza ofiara I wojny światowej

1945 - zakończono rozminowywanie powiatu; Starostą Powiatowym został Mieczysław Celejowski; na stację PKP przybył pierwszy pociąg z Legnicy; zarejestrowano Ognisko Związku Nauczycielstwa Polskiego; zarejestrowano Polski Związek Łowiecki; teatralne koło amatorskie pokazało komedię „Pomyłka pana Lambineta"

1946 - zdemolowano lokal opozycyjnego Stronnictwa Ludowego; uruchomiono Państwową Fabrykę Kapeluszy i Stożków Wełnianych w Złotoryi, pierwszym dyrektorem Antoni Mieszczak (późniejsze Złotoryjskie Zakłady Obuwia); Szkołę Podstawową nr 1 przeniesiono z ul. M. Konopnickiej na Pl. Zwycięzców(dziś Niepodległości)

1949 - odbył się powiatowy zjazd Stronnictwa Ludowego i wybór delegatów na kongres zjednoczeniowy (powstało Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, jedna z trzech partii za czasów PRL, obok PZPR i Stronnictwa Demokratycznego); zorganizowano różne imprezy z okazji Miesiąca Pogłębienia Przyjaźni Polsko-Radzieckiej

1958 - kościół NNMP przekazano katolickiej parafii św. Jadwigi

1959 - przy ul. A. Mickiewicza odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci funkcjonariuszy SB, zamordowanych w 1948 r. (zdemontowano ją w 1990)

1967 - wmurowano akt erekcyjny pod budowę gmachu Zespołu Szkół Zawodowych przy ul. Wojska Polskiego

1969 - zmarł ks. Onufry Stankiewicz, drugi powojenny proboszcz parafii św. Jadwigi

1978 - u zbiegu ulic Garbarskiej i Zielonej odsłonięty został pomnik 60-lecia Odzyskania Niepodległości przez Polskę

1980 - powstał Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność" przy Zespole Szkół Ogólnokształcących w Złotoryi

1981 - otwarto Przedszkole nr 5 przy ul. Legnickiej

1983 - ukazał się pierwszy numer *Barw Kaczawskich*, gazety plakatowej wydawanej przez Klub Miłośników Gór przy Złotoryjskim Ośrodku Kultury, red. nacz. Sławian Trocki

1985 - odbyła się sesja popularno-naukowa pn. „40-lecie oświaty na Ziemi Złotoryjskiej"; pierwszy Zlot Pionierów Ziemi Złotoryjskiej

1987 - zarejestrowano Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej; otwarto nowe delikatesy „Camargo" na Pl. Wolności (dziś Rynek)

1988 - odczyt „Z dziejów Wilczej Góry" (TMZZ); obszar miasta podzielono na cztery osiedla; Harcerski Klub Lotniczy „Trawers" stał się właścicielem samolotu Jak 12 M; przy ul. Cmentarnej oddano do użytku blok mieszkalny dla pracowników Złotoryjskich Zakładów Obuwia

1989 - na Pl. Zwycięzców (dziś Niepodległości) staraniem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" wmurowano kamień węgielny pod Pomnik Niepodległości; odbył się Puchar Polski w Akrobatyce; w kościele NNMP otwarto wystawę o jego historii i zabytkach(TMZZ)

1990 - 1 listopada odsłonięto Pomnik Niepodległości na Pl. Niepodległości; otwarto nową siedzibę Miejskiej Biblioteki Publicznej przy ul. S. Żeromskiego

1991 - Agnieszka Lechowicz została Miss Dolnego Śląska; powołano Straż Miejską

1993 - umieszczenie orła na Pomniku Niepodległości

1994 - powstała Rada Kupców i Pracodawców; odbył się I Przegląd Dziecięcych Form Teatralnych(ZOK)

1995 - Leszek Antonowicz laureatem plebiscytu na najlepszego sportowca Dolnego Śląska w 50-leciu

1996 - otwarto Biuro Rejestru Usług Medycznych (pozostały nam nie wiadomo do czego potrzebne książeczki); wystawa „Zamki i pałace Dolnego Śląska" w ZOK

1997 - I Koncert Zaduszkowy w kościele św. Mikołaja; w wieży kościoła NNMP wydobyto ludzkie kości i średniowieczna ceramikę; Bal Dinozaurów w kawiarni „Miła"; apel części radnych Rady Miejskiej do handlowców przeciwko sprzedaży pornografii (bez rezultatu)

1999 - zmarła 100-letnia złotoryjanka Pelagia Przytuła; penetracja dna studni w kościele NNMP; zakończenie remontu nowej strzelnicy Klubu Strzeleckiego „Agat";

2000 - złotoryjska ekspozycja na Targach Inwestycyjnych Miast Polskich w Poznaniu

2002 - naprawa tarcz zegarowych na wieży kościoła NNMP, zniszczonych przez wichurę (TMZZ, Urząd Miejski)

2003 - odbył się Powiatowy Konkurs o św. Jadwidze i odczyt „Ziemia Złotoryjska podczas wojen napoleońskich - w 190-rocznicę wydarzeń" (TMZZ)

2004 - odbył się odczyt „Ziemia Złotoryjska podczas I wojny światowej" (TMZZ)

2005 - odczyt „Złotoryja 1945" (TMZZ)

2006 - ostatnie wybory do Rady Miejskiej; wydobycie z murku przy Al. Miłej kamieni z napisami hebrajskimi, pochodzącymi zapewne z cmentarza żydowskiego (TMZZ)

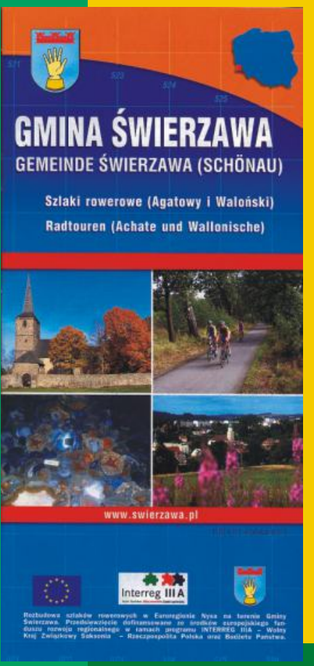

Warto przeczytać

Na rowerze przez Gminę Świerzawa

Tym razem polecamy dwa tegoroczne wydawnictwa - mapę szlaków rowerowych na terenie Gminy Świerzawa oraz towarzyszący jej przewodnik. Niezmordowany Piotr Norko dokładnie opisał przebieg a także kulturowe i przyrodnicze walory szlaków, nazwanych Agatowym i Walońskim. Pierwszy biegnie przez Świerzawę, Gozdno, Biegoszów, Nowy Kościół, Sokołowiec, Rząśnik i Lubiechową a drugi z Sędziszowej przez Świerzawę, Lubiechową, Podgórki, Wojcieszów, Dobków, Starą Kraśnicę i Rzeszówek. Na trasach rowerzysta spotka bez liku zabytków, malowniczych widoków, osobliwości przyrodniczych i ciekawych minerałów. Mapa obejmuje teren nawet nieco większy niż gmina. Nie zabrakło dokładnego planu miasta i opisu zabytków Świerzawy oraz innych miejscowości.

Publikacje w dwóch wersjach językowych - polskiej i niemieckiej, opracowało Wydawnictwo Turystyczne „PLAN" na zlecenie Urzędu Miasta i Gminy Świerzawa. Szlaki rowerowe wytyczono dzięki pomocy finansowej Euroregionu Nysa oraz Wojewody. Większą ilością map i przewodników dysponuje zleceniodawca, pojedynczymi- biblioteka TMZZ.

Roman Gorzkowski

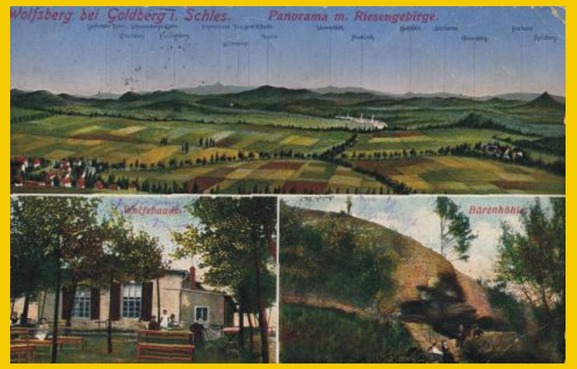

Czytelnicy muszą nam wybaczyć, iż po raz kolejny nawiązujemy do niezmiernie ciekawej przeszłości Wilkołaka. Otóż: Istniejące niegdyś na jego szczycie schronisko odwiedzane było nie tylko przez bardzo wielu turystów, spragnionych malowniczych widoków (w identyfikacji okolicznych wzniesień i miejscowości pomagała specjalna tablica w pobliżu werandy owego schroniska). Trafiali tutaj również inni goście i to nie tylko narodowości niemieckiej.

W zbiorach Klubu Kolekcjonera znajduje się widokówka, którą w maju 1916 r. wysłał do Poznania na adres panny Zofii Przyworskiej jeden z żołnierzy, służących w garnizonie, istniejącym w Złotoryi podczas pierwszej wojny światowej. Zachowujemy oryginalną pisownię:

Kochana Zosiu, karte od ciebie otrzymałem i donosze tobie irz Ja tagrze dzisiaj jestem na majuwce tu na tych gurach. Tu jest bardzo ładnie. Mamy dzisiaj

Kącik starej widokówki

Majowe westchnienia o Zosi

spacer z lazaretu i jesteśmy teraz właśnie przy kawie. Zasyłam pozdr. dla wszystkich. Tagrze dla tej panienki co się podpisała. Józef.

Nie ma żadnej wątpliwości, co do miejsca, gdzie powyższe słowa były pisane - obok korespondencji znajdują się stemple zarówno restauracji na Wilkołaku (Wolfsberg) jak i złotoryjskiego lazaretu. Na odwrocie widzimy panoramę widoków z Wilkołaka w kierunku południowym i zachodnim, schronisko „Wilcze", gdzie Józef odpoczywał, oraz Jaskinię Niedźwiedzią w dolinie Drążnicy. Szlakiem przy tej jaskini, a także obok pobliskiej Jaskini Wilczej, często schodzono z Wilkołaka w kierunku uzdrowiska w Jerzmanicach Zdroju.

Wybaczmy naszemu szeregowcowi błędy językowe, pochwalmy za pamięć i ciepłe słowa. Mamy nadzieję, że przeżył wojenną zawieruchę i szczęśliwie wrócił do swej ukochanej poznanianki. W tutejszym garnizonie, o czym wiemy chociażby z czerwcowego *Kącika starej widokówki*, odbywało służbę wojskową wielu mieszkańców Wielkopolski. Niestety, z setek widokówek, wysyłanych wówczas przez żołnierzy-Polaków, dotrwało do naszych czasów tylko kilka.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Przyzwyczajeni do obecnej zabudowy Złotoryi, zapominamy często, iż niektóre jej części zostały po ostatniej wojnie zupełnie przebudowane. Fotografia, którą prezentujemy tym razem, sprawiła niemałą trudność nawet osobom mieszkającym od dawna w naszym mieście. Niektóre z nich twierdziły wręcz, że ujęcie przedstawia całkiem inną miejscowość. Szkoda, iż dotarło ono do TMZZ już po ukazaniu się np. *Dziejów Złotoryi*.

Zachęceni kilkoma już kontaktami Czytelników odnośnie zamieszczanych w tym miejscu zdjęć (np. w sprawie pomnika XX-lecia, browaru i drukarni, dzieci i nauczycieli, konduktu pogrzebowego - Echo nr 1, 4, 5, 8, 9-10), postanowiliśmy i tym razem poprosić o odpowiedź na następujące pytania: Jaki fragment Złotoryi przedstawia fotografia? Kiedy mniej więcej została wykonana, czyli kiedy trwały widoczne na niej prace budowlane? Co znajduje się obecnie w miejscu, które przedstawia pierwszy plan fotografii, tam gdzie wykop i gruz? Które z budynków na zdjęciu istnieją do dnia dzisiejszego?

Wydaje się, iż zagadki nie da się rozwikłać bez terenowego rekonesansu. Zapraszamy więc na spacer po Złotoryi! Może swych sił spróbują złotoryjscy uczniowie wspomagani np. przez nauczycieli historii?

Roman Gorzkowski

Gratulujemy!

Nasz Czytelnik, Przemysław Markiewicz, trafnie wymienił obiekty, których dotyczyły archiwalne fotografie, zamieszczone w poprzednim numerze „Echa". Przy ul. Klasztornej istniał najpierw duży browar parowy Neumanna, a następnie, po rozbiórce jego zabudowań, powstała w tym miejscu drukarnia Wrocławskich Zakładów Graficznych, działająca w latach 1984-1994. Miło nam wzbogacić biblioteczkę domową Czytelnika kilkoma wydawnictwami dotyczącymi Złotoryi!

Przy okazji informujemy, iż w podobny sposób wynagrodzimy również tych

KRONIKI ZŁOTORYJSKIE

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

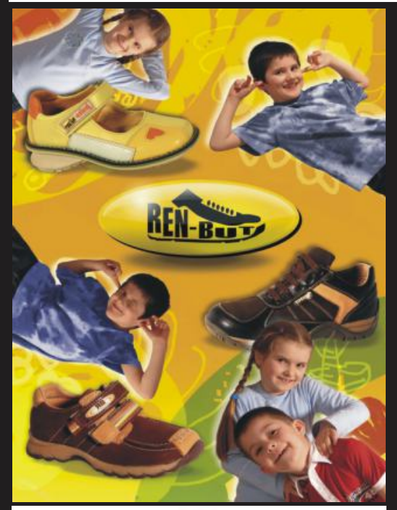

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
STONESPOL
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023